

STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
Królewska 29A, tel. 301-62

Godziny przyjęć: codziennie prócz
sobót i niedziel — Redakcji 11—13.
Administracji 17—19.

Rękopisów nie zwraca się.

Numer zamyka się w środę

OD REDAKCJI

„STER” JEST ORGANEM ŻYDOWSKIEJ MYŚLI DEMOKRATYCZNEJ.
„STER” SŁUŻY SPRAWIE NARODOWEGO I SOCJALNEGO WYZWOLENIA ŻYDOSTWA.
„STER” DĄŻY DO ODBUDOWY ŻYDOWSKIEJ PALESTYNY NA ZASADACH PRACY I POKOJU.
„STER” WALCZY O RÓWNOŚĆ OBYWATELSKĄ I PRAWĄ NARODOWĄ DLA LUDNOŚCI ŻYDOWSKIEJ W POLSCE.
„STER” STOI NA GRUNCIE WSPÓŁDZIAŁANIA WSZYSTKICH SZCZERZE DEMOKRATYCZNYCH ŻYWIÓŁÓW W PAŃSTWIE.
„STER” BRONI IDEI WSPÓŁPRACY MIĘDZYNARODOWEJ I POKOJU.
„STER” ZWALCZA FASZYZM I ANTYSEMITYZM.
„STER” ODZWIERCIADELA WSPÓŁCZESNĄ TWÓRCZOŚĆ LITERACKĄ I ARTYSTYCZNĄ.
„STER” KRZEWI ZAMIŁOWANIE DO ŻYD: KULTURY NARODOWEJ.
„STER” GŁOSI PRAWDĘ O ŻYDACH ŻYDOM I NIE-ŻYDOM.

7 lutego 1937

756683

WARSZAWA

26 Szewat 5697

Bez złudzeń — bez rezygnacji...

Rozpoczynając z pierwszym numerem „Steru” nową drogę, drogę naprzód, rzućmy w pierw okiem wstecz.

Od ośmiu z górą lat działa w społeczeństwie żydowskim w Polsce czynnik polityczny, który zwykliśmy dawniej nazywać B. B. Z., a którego istotą jest popieranie regime'u pomajowego. Wpływ w masach żydowskich ugruntował sobie ten obóz, szerząc wśród nich złudne obietnice, i korzystając z wydatnej pomocy administracji, zwłaszcza prowincjonalnej. W roku 1928 obiecywał B. B. Z. usunąć wszystkie bolączki życia żydowskiego, gospodarczego i kulturalnego, przy pomocy oddziaływania wewnątrz Sanacji; w roku 1930 obiecywał już tylko stopniowe uzyskanie pewnych ulg, a w roku 1935 zaledwie ochronę życia i mienia, sui generis asekurację przed „stokroć gorszą Enecją”. W miarę uszczuplania obietnic, zwiększał się i zaostżał nacisk, a wraz z nim szerzyła się demoralizacja, łamały się charaktery, gięły się krzyże, chyliły się kornie czola. Punktem kulminacyjnym narastania hegemonii B. B. Z. na ulicy żydowskiej był okres przedwyborczy do obecnego ciał ustawodawczych. Centralny Komitet Organizacji Syjonistycznej był w społeczeństwie żydowskim, jak zresztą wśród mniejszości wogóle, jedyny (prócz socjalistów, naturalnie), który nie szedł do „wyborów”. Reszta była lakoma na nominacje i pół-nominacje. Sanacja miała rzekomo stanowić wal ochronny przed antysemityzmem, i to miało Żydów obligować do współdziałania.

Od 8-go września 1935 mija 17 miesięcy. W ciągu tego, stosunkowo krótkiego czasu krzywa wpływów B. B. Z. gwałtownie spadła w dół. Przytyk, Czyżewski i cała seria pomniejszych „ekscesów”... Ustawa p. Prystorowej... „Owszem”, plany ewakuacyjne, teoria żywiołu napływowego... Oenerowskie przemówienia posłów sanacyjnych... Słowem — rzeczywistość żydowska w Polsce rozwiała ostatecznie wszystkie złudzenia, jakimi nasi rodzimi orędownicy Sanacji karmili biedne masy żydowskie, steroryzowane strachem i nędzą. Dziś teoria „mniejszego zła” straciła już wszelki oddźwięk. — Nikt w żydostwie polskim w swym wewnętrznym ustosunkowywaniu się nie czyni już różnicy między Sanacją a Enecją, połączył je bowiem pomost antysemityzmu.

Mimo to na Wiejskiej nadal zasiadają parlamentarzyści — Żydzi, mimo że zbankrutowała cała ich dawna argumentacja (wątpliwej zresztą szczerości), mimo że utracili wszelkie oparcie w społeczeństwie. Teraz nie chcą już przyznać, że zasiadanie w obecnym „parlamencie” jest wadliwym i niezaprzeczalnym dowodem przynależności do regime'u i ponoszenia zań współodpowiedzialności. „Parlament” ten bowiem nie jest reprezentacją całej ludności Polski, a jedynie tej jej części, która zaaprobowała reformy ustrojowe pp. Sławka i Cara, mające zapewnić ciągłość regime'u. Oto co dyktuje elementarna logika polityczna — logika, która z Żydów przy ul. Wiejskiej nie może uczynić szlachetnego wyjątku. Nie pomoże im też dość zrzęzne — trzeba przyznać — przeszkoczenie z wyraźnej orientacji pro-sanacyjnej w r. 1935 na ogólną rezygnację w r. 1937. Już nie w imię glorii Sanacji chcą się trzymać kurczowo swych „parlamentarnych” pozycji, lecz z rezygnacji, z inercji, z braku lepszej drogi, z braku drogi wogóle.

Demokracja żydowska demaskować będzie i tę pozę bezsilnego rozkładania rąk z pobozną miną: „mymyśmy uczynili wszystko, co było możliwe”... Nie, uczynić wszystko to znaczy — odejść, wyjść z towarzystwa p. Sławka i p. Prystorowej, póki jeszcze czas. Ten sejm to część składowa regime'u, kto więc w nim tkwi, ten obiektywnie regime'u popiera. Demokracja żydowska, jak odrzucała zawsze, przez całe lata iluzję, rozwiewane przez B. B. Z., tak też teraz odrzuca rezygnację. Fala fałszywu, ciemnoty i antysemityzmu Polski nie zaleje. Odebrze ją powrotna fala twórczej demokracji polskiej. Kongres PPS (jego uchwały omówimy osobno) był świętą zapowiedzią powrotu tej fali.

Będziemy organizowali siły żydostwa polskiego dla szeregu doniosłych jego zadań, tak dla udziału w odbudowie państwa, jak również dla gospodarczej samoobrony i samopomocy tu na miejscu, dla

Dr. M. KLEINBAUM

L I S T O T W A R T Y OBYWATELA ŻYDA DO MINISTRA SPRAW ZAGRANICZNYCH R. P.

Panie Ministrze!

Za kilka miesięcy wygasa polsko-niemiecka konwencja śląska z r. 1922. Z faktem tym wiąże się cały szereg zagadnień politycznych, na czoło których wysuwa się bez wątpienia — dalszy los mniejszości narodowych w tej części śląskiego terytorium plebiscytowego, która znajduje się pod panowaniem niemieckim. Dotychczas korzystały tamtejsze mniejszości z ochrony prawnej, przewidzianej w odnośnych postanowieniach konwencji, m. in. z prawa składania petycji do Ligi Narodów, z działalności międzynarodowych organów kontroli w rodzaju komisji mieszanej pod przewodnictwem b. prezydenta Szwajcarii, Calondera, i górnośląskiego sądu rozjemczego. Postanowienia te są tym cenniejsze, że obecny regime niemiecki w teorii i w praktyce stoi na gruncie ekskluzywnego rasizmu, i że system międzynarodowej ochrony mniejszości w ogóle Rzeszy Niemieckiej nie obowiązuje.

Gdy w r. 1919 delegacja niemiecka na konferencję pokojową w Wersalu złożyła z własnej i nie przymuszonej woli oświadczenie, że w stosunku do swoich mniejszości Niemcy przestrzegają będących samych zasad, które obowiązywać będą państwa, związane traktatami mniejszościowymi, — wierzone, że Rzesza Niemiecka trwale spełniać będzie dług moralny, dobrowolnie zaciągnięty, i zrezygnowano z wiązania jej klauzulą mniejszościową. Oczekiwania te zawiodły jednak srodze. Od początku r. 1933, od dojścia Adolfa Hitlera do władzy, rząd Rzeszy dokonał szeregu aktów prawodawczych, dysymilujących Żydów niemieckich z ogółu obywateli, i tworzących z nich de facto mniejszość rasową, lubo wszelkich praw mniejszościowych pozbawioną. Liga Narodów, powołana do pełnienia stra-

ży nad losem mniejszości, musiała zaniechać czynnej ingerencji w polityce narodowościowej Rzeszy, ile-że brak jej po temu formalnych uprawnień. Zgromadzenie Ligi ograniczyło się tedy jedynie do powzięcia uchwały w dniu 11. października r. 1933, że

„państwa, nie związane przez Ligę Narodów żadnymi zobowiązaniami prawnymi wobec mniejszości, tym nie mniej w traktowaniu swoich rasowych, wyznaniowych i językowych mniejszości stosować będą co najmniej tak wysoką miarę sprawiedliwości i tolerancji, jaka wymagana jest przez traktaty i przez zasady, określające stałą działalność Rady.”

Niestety, w odniesieniu do Trzeciej Rzeszy i ten nacisk moralny skutku nie odniósł. To też nie pozostało Żydom niemieckim nic innego, jak tylko zrobić użytek z terytorialnie ograniczonej ochrony mniejszości, mianowicie, z uprawnień zabezpieczonych w polsko-niemieckiej konwencji śląskiej, zwłaszcza, że rząd kanclerza Hitlera nie zważał się rozciągnąć swego rasistycznego ustawodawstwa, a głównie swej dobrze znanej praktyki administracyjnej również na były teren plebiscytu śląskiego. Żydzi ze Śląska niemieckiego zwrócili się tedy do Ligi Narodów o pomoc w postaci t. zw. petycji Bernheima. Rząd Rzeszy w czasie rozpatrywania tej petycji przez Ligę (maj 1933) czuł się zmuszony do złożenia deklaracji, że jego wewnątrzpaństwowe ustawodawstwo nie może w niczym naruszać międzynarodowych zobowiązań Niemiec, i że się czuje zobligowany do przestrzegania postanowień konwencji śląskiej.

Istotnie tak się stało. Żydowskim mieszkańcom Śląska niemieckiego przywrócone zostały równe prawa obywatelskie. Na

ogół władze administracyjne przestrzegaly tych praw. Po dziś dzień Żydzi śląscy są jedynym wyjątkiem wśród żydostwa niemieckiego, nie dotkniętym przez ustawodawstwo i praktykę rasizmu. Po dziś dzień 10.000 Żydów niemieckich na Śląsku oraz bardzo liczni t. zw. nie-aryjscy (Niemcy pochodzenia żydowskiego) nie są jeszcze wyjęci z pod prawa ogólnego — a to tylko dzięki konwencji polsko-niemieckiej.

A rzecz to nielada! Bowiem ogółowi Żydów niemieckich w wyniku szeregu ustaw z t. zw. ustawami norymberskimi na czele odebrane zostały wszelkie prawa obywatelskie, ludzkie, postawiono Żydom w pozycji pariasów, — w pozycji bezprzykładnej, jak na stosunki w świecie cywilizowanym.

Na tym to, jak-że ponurym tle pozycja żydostwa na Śląsku niemieckim stanowi jak gdyby oazę. Korzysta ono, na równi z innymi mniejszościami, z ochrony życia i osobistej wolności, ze wszystkich praw politycznych i obywatelskich, z równości wobec prawodawstwa, administracji i sądownictwa, ze swobody związków, zgromadzeń i przekonań, z nieograniczonego dostępu do wszystkich zawodów i do studiów, z zakazu dyfamacji i bojkotu, z pełnego równouprawnienia ekonomicznego, — a to wszystko pod gwarancją Ligi Narodów i międzynarodowych organów kontroli. Różnica zatem stanu prawnego (dalekiego, oczywiste, od faktycznego) w Niemczech całych a na Śląsku niemieckim — ogromna.

Panie Ministrze!

Dnia 15. lipca b.r. różnica ta ma zostać zatarta. Z wygaśnięciem konwencji polsko-niemieckiej niesione zostaną gwarancje prawne, z których korzystają dotąd mniejszości na Śląsku niemieckim. Co to oznacza dla mniejszości żydowskiej,

wie dziś i rozumie cały świat. Rząd berliński nie omiśnie sposobności, by wymierzyć Żydom nowy cios, i bez zwłoki rozciągnie prawa norymberskie i cały swój system konsekwentnego rasizmu na teren Śląska. Tym samym świat stanie przed niebywałym widowiskiem, jak to grupa ludnościowa korzystająca dotychczas z międzynarodowej ochrony swych praw, nagle pogrążona zostanie w otchłani norymberskiej „sprawiedliwości”, i wyparta zostanie do ghetta. Panie Ministrze, ta krzywda niestychana stać się nie może! Cóż bowiem oznaczało ograniczenie konwencji do lat 15? — że w ciągu 15 lat stosunki na Śląsku o tyle się unormują i pomyślnie ułożą, iż konwencja między Polską a Rzeszą, jako też jej międzynarodowe zagwarantowanie, m. in. także gwarancja praw mniejszości, staną się zbędne. Czy znajdzie się choćby jeden uczciwy człowiek na całej kuli ziemskiej, któryby uważał los mniejszości pod rządami hitlerowskimi za aż tak dalece pomyślny, że ich ochrona jest z goła nie potrzebna? Czy konferencja ambasadorów Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch i Japonii wówczas, 20-go października 1922, mogła przewidzieć, jakie przemiany zajdą w Niemczech, i że wskutek tych przemian ochrona mniejszości, żyjących pod panowaniem niemieckim, będzie bardziej konieczna w chwili jej zawarcia? Czyż wydanie mniejszości żydowskiej Śląska na nielaskę Berlina, by dzieliła niechęć z całym żydostwem niemieckim, nie przeczy duchowi konwencji, oraz intencjom jej sygnatariuszy i gwarantów?

Panie Ministrze!

To są pytania retoryczne. Pozbawienie mniejszości na Śląsku niemieckim, a szczególnie mniejszości żydowskiej, wszelkiej zewnętrznej ochrony prawnej byłoby krzywdą i pogwałceniem elementarnej sprawiedliwości międzynarodowej. Wiadomo, że również rasowo „czystym” obywatelom niemieckim nie szczególnie się dzieje pod względem wolności i swobód obywatelskich, tym bardziej nie wielkie znaczenie praktyczne ma w życiu codziennym równouprawnienie 10.000 Żydów śląskich. Ale znaczenie prawne i moralne tego stanu jest ogromne. Bowiem zwolnienie Trzeciej Rzeszy z jej międzynarodowych zobowiązań wobec mniejszości, w tej liczbie wobec Żydów, oznaczałoby zgodę lub pogodzenie się z praktyką hitlerowską, tak daleką od pojęć, założeń i zasad genewskiego Związku Narodów. Klucz sytuacji leży w Pańskim ręku, Panie Ministrze. Rząd Polski winien wziąć na siebie inicjatywę przedłużenia ochrony prawnej mniejszości na terenie Śląska. Obojętne jest, choć nie bez znaczenia, czy zachowana zostanie gwarancja międzynarodowa praw mniejszościowych, czy też zastąpi się ją kontrolą wzajemną, ustaloną przez nową umowę bilateralną, wyłączającą już ingerencję czynnika ligowego. Nie zamierzam bynajmniej wskazywać drogi, wysuwam tylko zadanie, zadanie szczerne, godne sternika polityki zagranicznej Rzecyzpospolitej.

Jakkolwiek bodźcem do tego mojego wystąpienia była — przyznaję — w pierwszym rzędzie troska o los 10.000 moich braci, to jednak zdecydowałem się na nie dopiero po uświadomieniu sobie dwóch momentów: primo, że jest ono zgodne z interesem państwowym Polski; secundo, że interes mniejszości polskiej na Śląsku niemieckim zbiega się z interesem mniejszości żydowskiej.

Ad 1. Nikt chyba nie zaprzeczy, że prestige Rzeszy Niemieckiej w świecie i dobre imię narodu niemieckiego wiele, bardzo wiele ucierpiały z powodu przesładowań mniejszości (najbardziej — Żydów) przez regime hitlerowski. Otóż szlachetna inicjatywa Polski w kierunku zabezpieczenia losu mniejszości, choćby tylko na terenie Śląska niemieckiego, niezawodnie przyczyniła by się do podniesienia w oczach świata prestige'u moralnego Polski i dobrego imienia narodu polskiego. Ad 2. W poważnym polskim i katolickim dzienniku, wychodzącym w Katowicach, czytałem niedawno:

4-letnie rządów swastyki

W wielkości kłamstwa tkwi zawsze pewien czynnik wiarygodności, albowiem szerokie masy narodu, przy swych prymitywnych pojęciach, laniej padają ofiarą wielkiego kłamstwa, niż małego; same bowiem często z chęcią kłamią w rzeczach małych, wstydząc się jednakże przed kłamstwem zbyt dużym... Fakt ten zbyt dobrze jest znany wszystkim mistrzom kłamstwa tego świata i dla tego też je tak nikczemnie stosują.

(Adolf Hitler: „Mein Kampf”, tom I, str. 252).

(s. j. v.) Uupłynęły już cztery lata od owego dnia, w którym sędziwi i stojący już nad grobem, Hindenburg podpisał nominację Adolfa Hitlera na kanclerza Rzeszy. Wspomnienie tej chwili, gdy prasa wieczorna, w dniu 30 stycznia 1933 roku, przyniosła nam tę przerażającą wiadomość, żywo jeszcze tkwi w naszej pamięci. Jak świeży jest jeszcze obraz podniecenia ulicy, opinii publicznej! Jedni pytali z niepokojem, drudzy zaś z zaniepokojeniem: co będzie teraz? „Pozwólcie Hitlerowi rządzić przez sześć miesięcy, — a narodowy socjalizm umrze naturalną śmiercią!” — to było zdanie, prawie że powszechne. Niestety. Rzadko kiedy ruch polityczny był tak nie doceniany i tak fałszywie osądzony, jak niemiecki narodowy socjalizm. Przez długie lata, zanim wszedł w rozstrzygającą fazę wzrostu, jego przywódcy i zwolennicy byli raczej przedmiotem dowcipów i żartów, niż rzeczowej i poważnej analizy. I

tym tłumaczyć należy zarówno latwość, z jaką hitlerowcy owego 30 stycznia zdobyli władzę, jak i późniejszą bierność i brak oporu przeciwników w szybkim, zwycięskim pochodzie „brunatnych koszul”. Wszystkie — bez wyjątku — ugrupowania polityczne Niemiec oszołomione zostały nie oczekiwanym zwycięstwem „rycerzy swastyki”. Sparaliżowała je fatalistyczna wprost bezczynność. Wzajemnie przerzucały na siebie winę za to, co się stało. To jednak nie zdołało zmienić sytuacji.

Nowi władcy Niemiec przystąpili niezwłocznie po objęciu rządów w swe ręce do świadomego i bezwzględnie ugruntowania i rozbudowania swej pozycji. Również i to się im udało. Obsadzili swoimi, bez reszty wiernymi ludźmi, cały aparat państwowy: sądy, urzędy, policję, instytucje publiczne i t. d. Republika Weimarska długo nie mogła zdobyć dla się tych pozycji i może dla tego przypłaciła słabość że życie. Jeszcze dziś nawet przezwajająca część przeciwników hitlerizmu nie może się uwolnić od dawnego błędu i nadal niebezpieczeństwo swastyki lekceważy, wprost grzesząc złudnymi nadziejami na rychły upadek narodowego socjalizmu. Niektórzy obecnie jeszcze wierzą, że uda się gazetami, broszurami i fotomontażami, rozsyłanymi na świat cały z Pragi i Paryża, — zlikwidować hitlerizm. Niewątpliwie, krytyczna ocena zachodzących w Trzeciej Rzeszy zjawisk jest potrzebna. Z drugiej zaś strony pod-

dać należy rewizji stare pojęcia i przesady, które w ciągu jednej nocy straciły wszelki swój sens. Ale właśnie w obozie przeciwników hitlerizmu te cztery lata, które z gruntu zmieniły oblicze Niemiec, przeszły bez wpływu. Literaci i politycy, sławni z dawnych jeszcze czasów, znów się wybili na emigracji; nie mogą oni jednak zerwać ostatecznie z przeszłością. Nowych sił, któreby przyniosły z sobą polot, energię żywotną i wartości twórcze, jakoś nie widać.

RZECZYWISTOŚĆ

„Jakobini jako ministrowie nie zawsze są jakobińskimi ministrami”. Takie było w zasadzie zdanie nie syjonistycznych kół żydowskich w odpowiedzi na wyrażoną przez opinię syjonistyczną obawę o przyszły los Żydów niemieckich pod nowym regime'm. Ludzono się, że założenia dawnego państwa liberalnego pozostaną nie wzruszone.

W ciągu czterech lat swych rządów narodowi socjaliści robili wręcz co innego od tego, co zapowiadali. Ani nie znieśli „niewoli podatkowej”, ani nie zamknęli domów towarowych; nie zmniejszyli ilości urzędów, przeciwnie, miejsce jednego weimarskiego urzędnika zajęło kilku burzów hitlerowskich. Stopa życiowa robotnika niemieckiego w żadnym razie nie wzrosła, przyrzeczony „Drang nach Osten” nie został wcielony w życie a „krwawicy kurytarz” jakby zapomniany. Nic z praktyki narodowo-socjalistycznej nie przypomina głośzonego dawniej programu hitlerowskiego.

Ale w stosunku do Żydów narodowi socjaliści pozostali jakobińskimi ministrami. Jednym pociągnięciem pióra wyrugowano tysiące Żydów z dotychczas tak mocnych i jakże osławionych pozycji. Służba państwowa, nauka, uniwersytety i nawet szkoły średnie, stały się dla Żydów niedostępne. Celem polityki niemieckiej wobec Żydów à la longue jest: wygłodzenie Żydów. Niedawno temu zarzucono im mały udział w produktywnych

walki o wolność i sprawiedliwość w Polsce. Tak, ta walka jest też n a s z y m zadaniem. Żadna mniejszość, bowiem w żadnym państwie nie ostanie się inaczej, jak tylko w warunkach prawdziwej demokracji.

Nie uprawiamy handlu politycznego. Nie „sprzedajemy” lewicy polskiej naszego demokratyzmu, i nie „kupujemy” u niej żadnego filosemityzmu. My walczymy o demokrację w imię naszych włas-

nych celów, a lewica polska zwalcza antysemityzm znów w imię swoich własnych celów. Nikt tu nie jest naszym mentorem, nikt — naszym narzędziem. Jeśli droga nasza i lewicy polskiej schodzą się razem na pewnym, powiedźmy na dużym, odcinku — jesteśmy z tego t-łko radzi. Ale wciąż kroczymy swoją drogą, która jest drogą postępu i demokracji. Świadomi jesteśmy, że kroczymy naprzód, bez złudzeń, ale i bez rezygnacji... M. K.



7997

(Dokończenie na str. 2.)

I. GRÜNBAUM

Psychologia pogromów a psychologia wojny

Przypominam sobie charakterystyczną rozmowę, która się odbyła w pierwszych dniach niepodległości Polski. Udałem się wtedy do Komendanta Piłsudskiego i z rozgoryczeniem skarżyłem się przed nim na krwawe rozruchy antyżydowskie we Lwowie, podnosząc, że tego dnia cała prasa żydowska ukazała się nawet w żałobnych obwódkach. Piłsudski odpowiedział mi z żalem i trochę gniewnie: „Otrzymałem dzisiaj wiadomość, że w okolicach Siedlec Niemiec „huzarzy śmierci” otoczyli oddział szesdziesięciu polskich żołnierzy, zawarowanych w pewnym budynku i spalili ten dom wraz z ukrytymi w nim żołnierzami. Dzienniki polskie nie ukazały się dziś w żałobnych obwódkach...” Nie pamiętam już, czy wręcz odpowiedziałem Piłsudskiemu, że polski oddział zginął jako ofiara wojny, podczas gdy nasi polegli we Lwowie nie są ofiarami wojny, bo przecież nie znajdujemy się w stosunkach wojennych z polskim narodem. W każdym razie wielokrotnie w czasie t. zw. ekscesów w Polsce i rozruchów w Palestynie przypomniałem sobie te słowa Piłsudskiego, i w myśli udzielałem na nie tej właśnie odpowiedzi. Jeśli zaś teraz znowu ją powtarzam, to czynię to na skutek mego przeświadczenia, że nawet w Palestynie będąc się niekiedy wśród Żydów uczucia, stanowiące reakcję na pogromy, a zdarza się też czasami, że stosunek do arabskich rozruchów przypomina ustosunkowanie się Żydów wobec pogromów. Wydaje mi się, że już nadszedł czas przeprowadzenia wyraźnego rozgraniczenia pomiędzy żydowskim odczuciem pogromów a wojny.

W diasporze nigdy nie zgodziłem się z określeniem, że w Palestynie urządził się „pogromy” na Żydów. Wystrzegaliśmy się też sami używania tego znienawidzonego i haniebnego słowa, gdy mówiliśmy o napaściach na żydostwo palestyńskie. I oto w Palestynie nie akcentuje się dziś dobitnie, a nawet zacierają się zasadniczą różnicę pomiędzy tymi dwoma pojęciami. W diasporze odczuwaliśmy wszyscy, że pogromy mają w sobie coś, co budzi uczucie wstydu. Wprawdzie w swoim czasie poeta J. L. Gordon zaprotestował przeciw temu naszemu uczuciu, głosząc: „nie tobie wstyd, lecz przesławdom twoim” — ale uczucie wstydu

mimo to nie znikło, osiągając potężny i aż do krwi raniący wyraz w poemacie Bialika o mieście rzezi. Źródłem tego uczucia była nie tylko okoliczność, że Żydzi nie bronili się, zarzynani bez oporu niby nieczujące niższe jakieś istoty, ale w pierwszym rzędzie bolesny fakt, że śmierć ich była pozbawiona wszelkiego sensu.

Żydzi w diasporze nie prowadzą z nikim wojny. Dążenia ich pozbawione są choćby odrobiny elementu zdobywczości. Nawet gdy pomagają się równouprawnienia, czy bodaj praw narodowych, podporządkowują się sile rzeczy prawom i obyczajom, ustalonym przez naród większościowy, jego językowi, zwyczajom i kulturze. Dlatego tak silnie odczuwa Żyd, że krew jego przelewa się a honor bezczęści się niewinnie i bez sensu. Żyd nie rozumie, czym zgrzeszył, czemu bije się go, czemu przelewa się jego krew i brutalnie depcze się jego godność człowieka. Utrzymują, że gdy człowiek cierpi niewinnie, budzi się w nim poczucie wyższości etnicznej nad prześladowcami, ale w dniach pogromu ustępuje ono miejsca przeświadczeniu słabości, wstydu i poniżenia, gdy tłum ludzi, wśród których dotąd Żydzi spokojnie przebywali, nagle na nich napada, bije ich, znęca się nad nimi i morduje.

Jeśli zaś Żydzi tu i ówdzie bronili się przeciw pogromom w krajach diaspory, to także nigdy nie liczyli na zwycięstwo nad prześladowcami. Wiedzieli wszak i widzieli że władze (np. carska) były de facto po stronie napaśników i przeciw samoobronie. Gdy Żydzi organizowali samoobronę, czynili to zatem w celu ocalenia honoru narodu żydowskiego. Rządy w krajach pogromów nie uznawały i nie uznają prawa Żydów do samoobrony, stojąc na stanowisku, że tylko one same powołane są do obrony mieszkańców państwa, i że nie należy Żydom przyznawać tego prawa nawet wtedy, gdy faktycznie są postawieni sobie samym. Ponadto władze uważają, że obrona może tylko pogorszyć położenie Żydów i spowodować nasilenie pogromów i przelewu krwi. Przeświadczenie to zmusza Żydów do salwowania się ucieczką, do ukrywania się po kryjówkach i norach, i do ratowania życia niekiedy przy pomocy najnie-

godniejszych sposobów. Tam zaś, gdzie nie ma czynnej obrony — nie ma też bohaterstwa wojny; tam gdzie ma miejsce ucieczka — nie ma cierpienia męczenników, ginących świadomie za sprawę. To właśnie czyni z pogromów zjawisko rujnujące w życiu naszej diaspory, przynoszące nam hańbę i wstyd.

W Palestynie podobne uczucia obce są społeczeństwu żydowskiemu. Wprawdzie i tutaj pada pełne bólu pytanie: czym zawniiliśmy? Czy dlatego, że przynosimy krajowi błogosławieństwo, napada się na nas i krew naszą przelewa? Z drugiej jednak strony występuje świadomość, że starcia te związane są z naszą penetracją do kraju, z dziełem odbudowy, które wnosimy, ze zdobyciami, które wciąż osiągamy. Bezustannie posuwamy się naprzód, ustawicznie zwiększamy nasz stan posiadania, a to właśnie wywołuje opór i rodzi dążenie do powstrzymania naszego postępu przy pomocy oręża. A to jest już — wojna. Nie chcieliśmy jej i nie chcemy nadal. Snuiliśmy przepiękne marzenia, że twórcza praca nad odbudową kraju będzie naszą jedyną bronią — ale nie było to nam sążone. Narzucili nam i wciąż narzucają wojnę ci, którym nie stało sił, by odkryć i wydobyć skarby i bogactwa, ukryte w ziemi palestyńskiej; ci, którzy ziemię tę zaniedbali i doprowadzili do stanu upadku i ruiny, do kraju niemal bezludnego.

Od dnia, w którym zapoczątkowaliśmy odbudowę naszej ojczyzny, znaleźliśmy się w stanie wojennym. Siłą zmuszono nas: „jedną ręką pracować a w drugiej dzierżyć broń”. Konieczność ta potęgowała się równoległe do postępów naszej pracy. Aż wreszcie doszło do jawnej wojny, której podłożem są nasze dążenia, a celem — przerwanie procesu odbudowy i wyparcie nas z kraju.

W Palestynie nie było pogromów i nigdy ich nie będzie. Nasi wrogowie prowadzą przeciw nam wojnę, której formy zmieniają się zgodnie z warunkami chwili i w stosunku do rozmiarów sił, którymi rozporządzamy. Wojna ta staje się wciąż lepiej zorganizowana, upodabniająca się coraz to bardziej do wojny regularnej.

Toteż niepodobieństwem jest odmówić nam prawa do samoobrony. Nie mówi się

nam w Palestynie, że broniąc się, sami powiększamy tylko przelew krwi. Przeciwnie, uznaje się tu naszą wolę a także możliwość zwycięskiego wyjścia z zapałów. Równoległe więc do potęgowania się rozmiarów zaburzeń arabskich, zwiększa się nasze prawo do samoobrony i do jej organizowania. Tak n. p. w czasie ostatnich zaburzeń doszło do tego, że uzbrojono kilka tysięcy naszych młodzieńców, powierzając im w imieniu rządu zadanie obrony poszczególnych punktów osiedla żydowskiego. Wydaje się nam, że ta nasza zdobycz nie jest przejściowa, że zakorzeni się w naszym życiu, i że ma tendencję do wzrostu.

Ostatnio znów dochodzą nas wieści o licznych przygotowaniach naszych nieprzyjaciół arabskich do ponownego próbowania szczęścia w rozruchach i zaburzeniach. W obozie organizatorów ostatnich rozruchów czynione są gorączkowe przygotowania, a władze, jak zawsze dotąd, nie mają się środków prewencyjnych i ograniczają się do wyczekiwania na uboczu, jakie będą skutki obecnego ożywienia. Poza tym czynniki rządowe pragną uspokoić wzburzenie wśród Arabów w drodze łagodzenia represji przeciw zbrodniom, wydawania łagodnych wyroków na uczestników ostatnich rozruchów. Czynniki te nie chcą zrozumieć, że taka taktyka jedynie osmiela i zachęca organizatorów rozruchów i umożliwia im przygotowanie nowych wystąpień.

Jest rzeczą oczywistą, że nie wolno nam siedzieć z założonymi rękoma i czekać na wybuch rozruchów. Jest rzeczą konieczną, aby nowi zamach, jeśli nawet przybierze poważniejsze rozmiary od poprzedniego, zastał nas dobrze przygotowanych. Przede wszystkim musimy być przygotowani duchowo. Musimy wyżyć się doszczętnie tych uczuć, które zwykle budzą się wśród Żydów diaspory w oczekiwaniu pogromów. Nie należy przesadzać, ale zarazem nie należy lekceważyć niebezpieczeństwa. Opanujmy wszelką nerwowość, tak powszechną wśród naszego społeczeństwa w diasporze, a wpływającą z przeświadczenia o słabości i braku warunków do samoobrony. Przeciwnie wśród nas dominuje świadomość wciąż rosnącej siły i pewność że wkońcu

wyjdziemy zwycięsko z czekającej nas rozgrywki.

Niechaj nasi nieprzyjaciele wiedzą, że nie cofniemy się pod naciskiem rozruchów i wojny. Wszystkie siły nasze skupimy wokół odbudowy i samoobrony. Bo czyż pozostaje nam inne wyjście? Czyż mamy inną drogę ratunku przed uciskiem, wypieraniem i prześladowaniem w diasporze? Czyż istnieje inna możliwość dla nas, wypartych z krajów zamieszkania, a przybyłych do Palestyny, by położyć kres wędrowności i odbudować Ojczyznę, w której pozostaną na zawsze?

Świat zewnętrzny — jak wydaje się — nie zdaje sobie sprawy z tej sytuacji. Może i nam samym nie jest ona jeszcze jasna w całej rozciągłości i głębi. Cały świat dzieli się dla nas na kraje, które pragną się nas pozbyć i na te, które nie chcą, abyśmy do nich przybywali. Pozostała jedynie Palestyna; kraj, który zaczęliśmy odbudowywać z gruzów i w którym osiągnęliśmy powodzenie; kraj, do którego przyznano nam prawo powrotu i wzniesienia w nim naszej Siedziby Narodowej. Jest to nasze wyjście jedyne, bo nie ma innego.

Kto wie, czy nie wkraczamy w okres walk przeciw naszemu dziełu odbudowy. Musimy być przygotowani na tę możliwość i na wszystko, co będzie z nią związane, chociaż wszystko wpięty uczynimy, byleby jej uniknąć. Snujemy piękny sen, że nasze dzieło odbudowy w Palestynie nie będzie zbrukane krwią — nie mniej jednak nie cofniemy się przed ofiarami krwi. Krew ta nie przeleje się nadaremnie, ofiary nie padną bez celu, tak jak nie poszły na marne nasze dotychczasowe ofiary. Aż stanie gmach, którego budowę rozpoczęliśmy, aż rozszerzą się i wznoczą jego podstawy.

Pragniemy pokoju, pracy i tworzenia — ale z celu naszego nie zrezygnujemy, zrezygnować nie możemy. Gdy w odpowiedzi na to będzie się na nas zbrojnie napadać — będziemy bronić naszego życia i naszej pracy, która jest pracą wyzwoleńczą. A zapamiętajmy sobie: nie pogromy urządził się na nas, ale wypowiada się nam wojnę. Nie mamy zaś innego wyjścia, jak tylko wojnę tę podjąć.

Jeruzolima, w styczniu.

MICHAEL ASSAF

Arabski ruch narodowy w Palestynie

Arabski ruch narodowy w Palestynie jest właściwie częścią bogatego w swym zakresie i w chwili obecnej dość rozwiniętego ruchu ogólnonarabskiego, który zarówno swą treścią wewnętrzną, jak i swym geograficznym rozmieszczeniem, ujawnia się na zewnątrz w trzech odrębnych postaciach, a mianowicie: 1) jako *ruch panislamski*, opierający się na kryteriach religijnych i pragnący zjednoczyć wszystkie narody, które wyznają Islam; 2) jako *maksymalistyczny ruch panarabski*, który pragnie wciągnąć w orbitę swych wpływów politycznych niektóre, mówiące po arabsku, narody i 3) jako właściwy *arabski ruch narodowy*, który pragnie połączyć niektóre szczepy i państwa arabskie w związek polityczny, oparty na zasadach rasowych, — czyli właściwy *ruch panarabski*.

Dla poznania ograniczonego do terytorium Palestyny ruchu arabskiego konieczne jest przede wszystkim wyjaśnienie genezy i dotychczasowego rozwoju dopiero, co wspomnianych trzech odrębnych ruchów arabskich. Albowiem są one w całości wzajemnie od siebie zależne i w gruncie rzeczy zawiądzają swe powstanie i rozwój wspólnym siłom i czynnikami, choć niekiedy różnią się między sobą metodą działania i polityczną strategią.

Naród arabski występuje na widowni dziejowej obarczony podwójną misją, religijną, jako głosiciel idei Islamu, i narodową, jako odrębny czynnik w polityce światowej. Ta podwójność misji narodu arabskiego jest jednym z najciekawszych zjawisk w historii arabsko-islamskiego świata i wptyw jej był do nie dawnych czasów dość znaczny. Sam Mahomet był symbolem tej podwójności. Zarówno swym charakterem, jak i swymi zdolnościami, różnił się zasadniczo od twórców innych wielkich ruchów religijnych: stworzył bowiem równocześnie Islam i nowe arabsko-islamskie państwo. Twórcą Islamu był jednocześnie i prorokiem i naczelnym wodzem wojskowym swego narodu. Islam przypomina swą ideą uniwersalistyczną chrześcijaństwo; jest jednocześnie też bliiski żydostwu ze względu na połączenie idei religijnej z narodem wybranym, o którym mówi Islam.

Upadek Cesarstwa Rzymskiego ułatwił znacznie rozwój nowej religii islamskiej na drodze wielkich zdobyczy militarno-politycznych. Ale zwycięski pochód militarny Arabów wywarł nie korzystny wpływ na ich odrębną zbiorowość narodową. Ani kwalitatywnie, ani też kwantytatywnie Arabowie nie byli w stanie utrzymać religijnego i politycznego dzieła, które stworzyli. Liczne Arabów na świecie była zawsze

zbyt mała, a ich kultura — prymitywna. Rzesze tych, którzy nawracali się na Islam, wciąż wzrastały; wielu z nich przesiąknętych było starą kulturą, jak np. Persowie. W tym samym tempie, w którym Arabowie zdobywali kraje i narody, — asymilowali się arabscy zdobywcy z większością mieszkańców podbitego kraju, zarówno ekonomicznie, jak i duchowo.

Zupełnie inaczej rzecz się miała z arabskością charakteru samego Islamu. Arabowie byli zarówno ziarnem i rdzeniem Islamu. W odróżnieniu od chrześcijaństwa, którego rdzeń narodowo-żydowski zanikł, w Islamie narodowy trzon arabski utrzymał się. Poczucie wyższej wartościowości Arabów w międzynarodowej zbiorowości islamskiej, którą Arabowie opanowywali, poczucie, podzielane zresztą przez inne islamskie narody, — przyczyniło się do utrzymania rdzenia arabskiego w Islamie: (rzeczywista władza Arabów w arabsko-islamskim państwie trwała 200, najwyżej 300 lat, arabski kalifat natomiast utrzymał się przez około 900 lat). Na skutek zetknięcia się politycznych, społecznych i ekonomicznych czynników powstał „kompleks arabski” w świecie islamskim.

W związku z tym wspomnieć należy o momencie politycznym, który sprzął się z Islamem i który znalazł swój wyraz w antagonizmie między Sunitami i Szaitami. Ten, destruktywnie działający antagonizm, rozpoczął się zaraz po śmierci Mahometa i trwa po dziś dzień.

Stworzenie międzynarodowej religii w połączeniu z międzynarodowym państwem było zamierzeniem, które dalece przerastało możliwości ludzkiej społeczności. Wzrastająca i zagrażająca pozostałemu światu potęga Islamu stała się w Środkowemu czynnikami, jednoczącym rozbić chrześcijaństwo Europy. Tarcia w łonie świata islamskiego pobudziły Europę do wypowiedzenia Islamowi wojny, która miała go zapędzić z powrotem do pustyni. Próba ta — wyprawy krzyżowe — nie powiodła się. Islamowi bowiem przybyły kolosalne siły zapasowe w Azji, podczas gdy Europa w małym tylko stopniu mogła przyjąć krzyżowcom z pomocą. Rezerwy w Azji krystalizowały się początkowo w formie państw: państwo Zeldżuków i Ajubidów istniało od 1055 r. do 1250 r., Memelidów od r. 1250 do 1516 i wreszcie potężne państwo tureckie od r. 1516 do około r. 1800.

Podbój arabskich krajów przez sulta-

nów tureckich wywarł decydujący wpływ w dziedzinie politycznej i ekonomicznej na te kraje. Władcy tureccy znieśli symbole arabskiej suwerenności: kalifat arabski i język arabski jako państwowy. Sultani tureccy sam zostali kalifami.

Odkrycie przez narody europejskie w owym czasie nowych dróg na Daleki Wschód, do krańców legendarnych wprost bogactwach, miało fatalne następstwa ekonomiczne dla krajów arabskich. Dotychczasowa bowiem droga handlowa całego świata, która wiodła przez kraje arabskie, zapewniając im dobrobyt i stosunkowo wysoką stopę życiową, — stała się nagle, u schyłku Średniowiecza, zbedna dla wielkiego międzynarodowego ruchu handlowego. Przez trzy stulecia, aż do czasów Napoleona, nie były te kraje przedmiotem zainteresowania świata.

W dziedzinie kulturalnej wpływ turecki na kraje arabskie był wybitnie militarny. Turcja była i jest w istocie państwem militarnym. Konsolidacja potęgi islamskiej odbywała się zawsze kosztem duchowej jakości obywateli. W państwie panował zawsze, szczególnie w odniesieniu do przejawów życia duchowego, „stan wojenny”. Wojna jako środek do osiągnięcia celów państwa — podboju i zdobycy — oraz sama groza prowadzonych wojen rozwinęły w Arabach uczucie poddaństwa, fatalizmu i obojętności wobec dążności do wyższych form życiowych. Zastraszająca wprost bierność sparaliżowała wszystkie kraje arabskie.

W osiemnastym stuleciu pokazały się na horyzoncie zapowiedzi pewnych zmian. Turcja była najniebezpieczniejszym sąsiadem dla Rosji ze względu na bardzo długie wspólne granice między obu krajami. Zaborczy władcy Rosji dążąc do rozbudowania swej władzy i powiększenia zasięgu rosyjskiego handlu światowego, skierowali swój wzrok przede wszystkim ku Konstantynopolowi, owemu miastu, które swą starą tradycją religijną i ekonomiczną związała się z Rosją. W ciągu 18 stulecia udało się Rosji nie tylko położyć kres podbojom tureckim w Europie, lecz również zmusić Turcję do odwrotu. Flota rosyjska zawiązała do portów w Beyruth i Akko, a rosyjscy agenci polityczni i ekonomiczni poczęli się wcisnąć do wszystkich dziedzin życia państwa otomańskiego, szczególnie w krajach arabskich. Dreszcz nadziei i radości przeszedł przez szeregi uciskanych i poniżanych Arabów: *kolos*

turecki przestał być niezwyciężonym.

Rosja wstrząsnęła całą Turcją. W drugiej połowie 18 stulecia powstają *Wahabici*. I znów obudziły się siły na Półwyspie Arabskim. *Abd Al Wahab*, człowiek o głębokich przekonaniach religijnych i silnym poczuciu miłości do Arabów, odbył długą podróż po całej Turcji i krajach arabskich, poznał gruntownie sytuację polityczną i religijną państwa i powrócił do ojczyzny z niezłomnym postanowieniem, aby raz na zawsze uwolnić Arabów od jarzma tureckiego. Pozyskał dla swych planów emira, nazwiskiem *Saud*, (założyciela obecnej dynastii), i tak powstało przed kilku dziesiętkami lat wielkie państwo arabskie, które połączyło Półwysp Arabski z Mekką i Medyną oraz południową częścią Mezopotamii i Transjordaniją.

Wahabici byli pierwszymi Arabami, którzy osmielili się wystąpić nie tylko przeciwko Turcji, lecz również przeciwko tureckiemu sultanowi (równocześnie kalifowi). To była pierwsza otwarta walka między Arabami a Turkami. Szczepny arabski utworzył państwo, którego obszar sięgał od Zatoki Perskiej aż po Morze Czerwone.

Słabość ruchu wahabickiego tkwiła w tym, że miał on świadomie charakter religijno-polityczny, a tylko *nieświadomie (instynktownie) był ruchem narodowym*. Pojęcie „nacionalizmu” nie istniało wówczas nawet w Europie Zachodniej (było to bowiem jeszcze przed Rewolucją Francuską). Ruch wahabicki nie zdołał jednak ożywić Arabów w Syrii, Mezopotamii i Palestynie, a to wskutek skrajnego monoteizmu i ścisłego przestrzegania praktyk religijnych, które były jedną z podstawowych zasad ruchu Wahabistów.

Wahabici oddziaływali na budzącą się świadomość narodową Arabów, jak już powiedziałem, tylko instynktownie *Napoleon* zaś wstrząsnął świadomością szlacheckiego Wschodu, budząc ją do czynu. Ukazanie się Napoleona na Wschodzie było punktem zwrotnym w dziejach świata. Genialny ten zdobywca nie chciał się pogodzić z trwającym przez stulecia faktem, że droga Europy na Daleki Wschód, do Indii, prowadziła przez długi szlak wokół Afryki. Głosiciel przyspieszonego tempa i geniusz lotnej taktyki nie chciał zrezygnować z krótszej drogi, którą państwo tureckie zamykało dla Europy; Napoleon uczył Europę, że punkt ciężkości kuli ziemskiej powraca do wschodniego brzegu

Morza Śródziemnego. Dla tego też wciągnął Arabów, którzy usadowili się nad tym brzegiem, w wir burzliwego życia politycznego. Potężny polot umysłu Bonapartego uczynił ten opuszczony zakątek frontem świata.

Republikańskie wojsko francuskie stało się twórcą deklaracji narodowego odrodzenia Arabów i siłą, budzącą ich do politycznej regeneracji. Z doświadczenia, wymieszonego jeszcze z Europy, wiedział Napoleon, jaką magiczną siłą pociągającą posiada hasło „narodowego wyzwolenia”, to też chciał je wyzyskać dla swych zdobywczych celów na Wschodzie. Posiew jego wydał owoce wprawdzie po stu latach.

Napoleon chciał zaszczepić w muzułmańskiej społeczności zasady demokracji, zdobywcę Rewolucji Francuskiej. Działalność jego w tym kierunku była utrudniona wskutek bardzo mocno zakorzenionych tradycji w masach arabskich. Szczytne ideały rewolucjonistów francuskich zbyt silnie godziły w uświęconę wielowiekową tradycją pojęcia Arabów. Nie powstrzymało to jednak Francuzów od głoszenia wsem wobec swej nauki, — nie mogli bowiem uwierzyć, aby jakkolwiek tradycja była w stanie oprzeć się głoszonemu przez nich słusznym zasadom.

Również w dziedzinie kulturalnej był Napoleon zbawcą Wschodu. Ekspedycja naukowa, która towarzyszyła jego wojskom w drodze do Egiptu, przyczyniła się do odrodzenia takich nauk, jak archeologia, medycyna, przyrodznictwo i t. p. Cele polityczne pobudziły Napoleona do okazania Egipcjanom przez wykopaliska całej chwały ich minionej przeszłości z czasów Faraonów, by potem uczynić z nich siłę, która stanowiła mu przeciwwagę dla Turcji. A Egipt był wówczas osrodkiem kulturalnym wszystkich krajów arabskich.

Dzieło Napoleona oліsnio Wschód metodą, systemem i sposobem realizacji. Wschód odczuwał siłę, co prawda daleką, obcą, nacierającą i zastraszającą, nie mniej jednak budzącą i rojującą nadzieje.

W roku 1799 poniósł Napoleon pod Akko klęskę. Anglia pośpieszyła Turcji z pomocą i flota francuska została rozbita.

Mimo to jest Napoleon twórcą nowoczesnego Egiptu i nowoczesnej polityki Wschodu. Ślady działalności francuskiej pozostały w krajach arabskich po dzień dzisiejszy i są one kluczem do poznania przeobrażeń muzułmańskiej kultury w obecnym pokoleniu, przebudzenia się i odrodzenia Islamu. O tym w następnym artykule.

LION FEUCHTWANGER

/ ŻYDZI W PROCESIE DZIEJOWYM

W związku z rozpoczynającym się w „Sterze” drukiem powieści Liona Feuchtwangera p.t. „Falszywy Neron” przynosimy poniższy artykuł, wyrażający poglądy znakomitego pisarza na istotę żydostwa.

Redakcja.

I

CZYM JEST ŻYDOSTWO?

Przesadza ten, kto twierdzi, że cechy żydostwa można określić z naukową ścisłością. Mimo wielu prób nauka dotąd nie potrafiła bez zastrzeżeń ustalić, jakie są cechy fizyczne rasy żydowskiej, które ją odróżniają od innych białoskórych. Najlepiej chyba ująć żydostwo jako nastawienie duchowe, które — podobnie jak mentalność amerykańska — posiada siłę atrakcyjną i asymilującą. W gruncie rzeczy jest taka definicja tylko rozumowym opisaniem pojęcia religii.

Biorąc rzecz historycznie, kształtowała się mentalność żydowska pod wpływem geopolitycznego położenia, w jakim znajdowali się Żydzi za czasów istnienia państwowości żydowskiej. Państwo żydowskie było małym buforem między Europą a Azją, między takimi gigantami, jak Babilon, Asyria i Egipt, i dlatego też mały lud żydowski, nie chcąc być starty z powierzchni ziemi, musiał stale lawirować zarówno politycznie, jak i duchowo. Ci ludzie mieli dostateczne powody, aby dokładnie zbadać i poznać mentalność swych sąsiadów. Aby nie zginąć, musieli już bardzo wcześnie stać się praktycznymi psychologami i to na wielką skalę.

Żył im wypadło tam, gdzie spotykały się i wzajemnie się krzyżowały wielkie kultury starożytności. Od wschodu napierała stale nauka o konieczności bezwoli, bezczynności, rozplynięcia się w nirwanie. Zachód szerzył bezustannie naukę, głoszącą, że człowiek stworzony został do czynu i walki. Od strony południowej dochodziła wielka i tajemna nauka Egiptu o przezwyciężeniu śmierci wytrwałością i wytrwaniem, nauka o wiecznym podtrzymaniu bytu. Wschód uczył Żydów: nie być! zachód: stawać się! południe: być! I wchłonęli w siebie te trzy nauki, zleli je z sobą, wzajemnie do siebie dostosowali. Aż powstało coś nowego, wielkiego, całego: system, który kształtował ich w ciągu dwóch tysięcy lat: Biblia!

II

ZYGZAK ROZWOJU

Rozwój historyczny nigdy nie jest prostoliniowy. Gdy w danej grupie nadmiernie rozwija się pewna właściwość, zanika za to często inna.

Na azjatyckim gruncie nie było chyba drugiej grupy ludzi, która potrafiła stworzyć tak przemysłowy i wszechstronny system ułatwiania sobie bytu, jak my biali to uczyniliśmy. Natomiast z pewnością byli na azjatyckim gruncie ludy, które wskutek wielkich skupień ludzkich na małych przestrzeniach już przed tysiącletnią przeszłością wykształciły w sobie o wiele mocniejsze poczucie społeczne i subtelniej je zabarwiły, niż myśmy to zdołali. Na azjatyckim gruncie zadowalały się wielkie zbiorowiska ludzkie tymi skromnymi środkami technicznymi, jakie wynalazły dla ułatwienia sobie bytu a całą swą gorliwość skierowały ku udoskonaleniu i pogłębieniu poczucia religijnego i socjalnego. W obrębie tych dwóch tysięcy lat, w ciągu których białoskórzy prym dzierżyli we wszystkich dziedzinach techniki, zajmowały się kolorowe narody kulturalne prawie wyłącznie psychologią, socjologią, religią.

Innymi słowy: my białoskórzy poświęciliśmy wolną część energii na zorganizowanie postępu technicznego, na wynalezienie aparatów, ułatwiających zewnętrzne bytowanie. Drobnej tylko cząstki naszych sił zużyliśmy na wykształcenie i uszlachetnienie naszego poczucia socjalnego, naszej religii, na nasze „odbarbarzanie się”. Kolorowy człowiek kulturalny spogląda na nas, jak na barbarzyńców, którzy posiadają wprawdzie nadzwyczajne przemysłowe aparaty, ale za to też mają niezwykle zaniedbane dusze. Jedną z cech tych wysoce kulturalnych ludów kolorowych nie było im okazanie nam zdziwienia z powodu naszego duchowego wykoszlawienia.

Rozwój historyczny grupy żydowskiej w innym szedł kierunku, aniżeli rozwój pozostałych grup białoskórych. Grupa żydowska uczestniczyła co najmniej jedno, długie tysiąclecie w religijnym i socjalnym postępie kolorowych ludów kulturalnych, a drugie krótkie tysiąclecie, w pierwszych technicznych zdobyciach ludów białoskórych. Później, z powodu zamknięcia w ghettach, grupa żydowska wyłączona została z uczestnictwa w rozwoju techniki białoskórych. Dopiero od około 200 lat może znów w nim uczestniczyć. Oczywiście nie zdołała ona jeszcze osiągnąć tych wyżyn techniki, na których się znajdują czołowe grupy innych białoskórych. Górnie jednak nad nimi liny właściwościami socjalnymi, jakie sobie przyswoiła już dość wcześnie z religijnego dorobku kolorowych ludów kulturalnych.

III

KULTURA AZJATYCKA I CYWILIZACJA EUROPEJSKA

Po zburzeniu świata antycznego potrzeba było barbarzyńcom Europy blisko całego tysiąclecia, aby na gruzach własnego utwierdzonego tworywa. Dopiero po całym tysiącleciu potrafili nawiązać te węzły duchowe, które przed tysiącleciem niszczyli. Słusznie nazywamy tę epokę nawiązania węzłów duchowych z światem starożytnym renesansem, odrodzeniem i równie słusznie charakteryzujemy ten element duchowy, który chcieliśmy wydobyc dla siebie z pod gruzów starożytności — człowieczeństwem, humanizmem. Ostatnie cztery stulecia są w rzeczy samej dziejami naszych naogół zwycięskich dążeń do przyswojenia sobie tego humanizmu.

W dobie obecnej myślimy, że już osiągnęliśmy tę granicę, do której ongiś sięgała kultura naszych białoskórych, europejskich przodków i że trzeba nam pójść dalej. Nasze techniczne zdobycze, zwłaszcza na polu komunikacji, pozwoliły nam zbliżyć się do kolorowych ludów kulturalnych. Wielu z pośród białoskórych zdało sobie już z tego sprawę, że o wiele korzystniej byłoby dla nas eksploatować te ludy w dziedzinie kulturalnej, zamiast materialnej. Nie brak już świątliwych ludzi, którzy spodziewają się, że połączenie bogactw w zasoby techniczne białoskórych barbarzyńców ze starymi, tak biednymi pod względem technicznym, a

tak bogatymi pod względem kulturalnym ludami kolorowymi popchnie ludzkość na wyższe szczeble rozwoju. Spodziewają się drugiego renesansu, głębszego, niż pierwszy. Myślą, że ziemie zaludni w najbliższych stuleciach gatunek ludzki, który technikę europejsko-amerykańską organicznie połączy z kulturą azjatycką.

Dzieje najbliższych stuleci będą prawdopodobnie pochodem ku temu celowi.

IV

OBECNA KONSTELACJA

Już obecnie dzięki ułatwionej komunikacji, jak i z powodu przeludnienia wielu krajów, stykają się białoskórzy z kolorowymi. Co prawda ludzie jeszcze w ludziach: bezwład i barbarzyński pęd niszczycielski. Nie ulega jednak wątpliwości, że, jak ongiś ludzie epoki kamiennej poczuli się posługiwać narzędziami z metalu, tak też zaczęli białoskórzy barbarzyńcy przyswajać sobie obyczajowość kolorowych ludów kulturalnych, zaś ludy kolorowe techniczną cywilizację białoskórych, że porozumieć i uzupełnić się potrafią, zamiast tępić się wzajemnie. Świat nie będzie się więc składał z tysiącznych jaskiń, których mieszkańcy odgraniczają się od siebie i czują, aby móc w stosownej porze napasać na siebie. Świat będzie raczej wielkim hoteliem, w którym odpowiednio urządzona centrala zapewni wszystkim równe warunki bytowania.

W tym procesie dziejowym przypada Żydom, którzy zjednoczyli w sobie ce-

V

ZWIĄZANIE SIĘ Z ZIEMIĄ I ROZWOJ HISTORYCZNY

W ciągu wielu stuleci uważano za szczególną cnotę związaną z ziemią, przykucie całej osobowości do małego skrawka ziemi. Jako lepszy typ ludzki uchodził chłop, najbardziej z ziemią związany, przeciwstawiony lekkonośnemu, pozbawionemu tradycji koczownikowi. Wyżnienie ludności własnego kraju było najtrudniejszym zagadnieniem ludów. Było się uzależnionym od siły produkcyjnej własnego, małego okręgu, od chłopa. To, co wyprodukował chłop, było podstawą, na której opierało się życie całego kraju. Z postępowaniem techniki i ułatwieniem komunikacji zmieniło się to także gruntownie. Dla uprawy pasa ziemi, która przedtem wymagała pracy trzech ludzi, wystarczy dziś jeden człowiek; środki żywności, które przedtem z niezwykłym trudem produkowano na własnej ziemi, sprowadza się dziś dziesięć razy łatwiej i taniej z innych części świata. Rzecz jasna, że podważyło to znaczenie i ważność związanego z ziemią chłopa. I to nie tylko jego znaczenie na zewnątrz, ale jeszcze więcej jego wartość wewnętrzną. Formy życiowe i etyka, które były dostosowane do człowieka, związanego z ziemią, straciły z sobą sens dla ruchliwego mieszkańca wielkich miast. Podobnie, jak współczesny żołnierz odczuwałby ciężki pancerz żelazny jeno jako niepotrzebny balast, jako przeszkodę, tak jest dzisiaj związaną z ziemią dla tego typu, który dla ludzkości przedstawia największe znaczenie, raczej zawadą, niż korzyścią. Człowiek współczesny, człowiek z doby maszyn, wielkiego przemysłu, szalanej komunikacji, uważa obrotność, ruchliwość, lekkonośność za największe cnoty. Wszędzie stał się dzisiaj koczownik ważniejszym, żywotniejszym typem, wszędzie też spycha on na dalszy plan powolnego i ociężałego chłopa.

Także i ten proces rozwojowy wyznacza Żydom w dziejach naszego stulecia ważną rolę. Wszystko to, co wrogowie dawniej wypominali Żydom jako godne pogardy właściwości, a więc kosmopolityzm Żydów i ich brak przywiązania do gleby, na której żyli, wszystko to okazuje się nagle ogromną zaletą. To, że Żydzi w ciągu stuleci byli gnani z miejsca na miejsce, to że stale musieli się dostosowywać do nowych ludzi, nowych warunków, daje im w szybko zmieniającej się epoce najsprawniejszą komunikację przewagę nad tymi, co poruszają się mogą tylko na własnej glebie. Tak tedy stało się dziejowym postulatami Żydów, aby znaleźli się w pierwszych szeregach budowniczych świata, przeobrażającego się ze świata osadników w świat maszyn.

VI

KORZYSCI, JAKIE PRZYNOŚI ŚWIATU „PAMIĘĆ” ŻYDOWSKA

Obok Chińczyków są Żydzi niewątpliwie najbardziej literackim ludem w świecie. Grupa ich od dwóch tysięcy lat nie była związana twórczym państwowym, było jej też obce pojęcie rasy. Tym, co ich zespałało, była jedynie książka: Biblia.

Wierność dla niej — była ich istotą. Z niej czerpali orientację dla całego swego życia. Jasne tedy, że poszanowanie dla piśmiennictwa, literatury stało się częścią ich istoty. Działalność literacka uchodziła za najszlachetniejszą czynność, godną mężczyzny. Analfabetyzm był u nich w pogardzie. Od dwóch tysięcy lat nakazuje im prawo uczyć się czytania i pisanie już w najwcześniejszej młodości. Mityka Żydów, kabała jest tylko wyrazem wielkiego zdumienia z powodu zjawiska, że dane jest człowiekowi za pomocą pisma przekazać wieczności myśli i uczucia. Poznała to ta grupa ludzka już na najwcześniejszych szczeblach rozwoju, że literatura jest pamięcią ludzkości i że zdobycze rodzaju ludzkiego przekazać się dają potomności jeno za pomocą mowy i pisma.

Poznanie to należy do tej kategorii poznania, które w dobie obecnej nie bardzo są rozpowszechnione. Znaczną część ludzi dotąd sobie nie uprzytomnia albo nie chce uwierzyć w prawdę, że „duch czasu” daje się przekazać potomności nie za pomocą technicznych zdobyczy, ale jedynie za pośrednictwem sztuki, a w szczególności literatury. Żydzi natomiast mają tę świadomość od tysięcy lat, nie jako w krwi. W swych księgach zachowali oni dla potomności tysiącletnie przeżycia białoskórych, które przynieść mogą pożytek, i dzięki temu owe przeżycia mogły się później stać własnością całego świata. Wydaje mi się, że żydowska grupa ludzka jest również i w epoce, która mała ma zrozumienia dla tego rodzaju rzeczy, powołana do tego, aby za pomocą literatury w poważnej mierze wzbogacić pamięć ludzkości.

Jakub Leszczyński

NARODOWY I EKONOMICZNY KRYZYS ŻYDOSTWA

Z narodowego punktu widzenia obecny kryzys żydowski jest kryzysem żydostwa światowego, stającym się pod znakiem zapytania bytowania narodu żydowskiego, albo ściślej — zmuszającym do przebudowy tego bytowania na całkowicie nowych podstawach. Albowiem z narodowego punktu widzenia emancypacja proletariacka w Rosji Sowieckiej, krocząca zupełnie innymi drogami, niż emancypacja mieszczańska, dając mniejszości żydowskiej nie tylko równouprawnienie ekonomiczne i polityczne, ale także najszersze możliwości narodowe — okazała się w skutkach jeszcze bardziej fatalna i niebezpieczna, niż dawna emancypacja mieszczańska. Ten pierwszy eksperyment nadania Żydom szerokich praw narodowych, a równoległe z tym całkowite polityczne i ekonomiczne równouprawnienie, wykazał w sposób najbardziej oczywisty, że przyczyną narodowej tragedii żydostwa są nie tyle przesławdowania świata zewnętrznego, ile narodowa bezsilność i brak ugruntowania naszego własnego świata.

Prawdą jest, że źródłem każdego żydowskiego kryzysu ekonomicznego, o tyle, o ile ma on specyficznego żydowski charakter, jest narodowa słabość grupy żydowskiej, jej pozycja mniejszości narodowej oraz brak ziemi. Prawda ta nie może być jednak odwrócona w kierunku przeciwnym. Nie każdy narodowy kryzys żydowski, a więc kryzys bytowania grupy żydowskiej, jako narodu, kolektywu i odrębnego skupienia, wywodzi się z gospodarczych przyczyn. Widzimy to najwyraźniej w Rosji Sowieckiej, ale także w Ameryce i wielu innych krajach, gdzie położenie ekonomiczne masy żydowskiej nie jest gorsze od sytuacji gospodarczej masy żydowskiej, lecz mimo to nasza narodowa energia wciąż maleje.

Epoka emancypacji mieszczańskiej, która wywołała wśród Żydów tendencje asymilacyjne, spowodowała równocześnie narodzenie się sympatii proasymilacyjnych wśród narodów większości żydowskiej. Dążenie Żydów do zlania się z otaczającymi ich społeczeństwami większościowymi, pragnienie ograniczenia momentów, odróżniających Żydów od większości narodowej, do minimum w sprawach religijnych oraz zrośnięcia się z obcymi w życiu codziennym, nie tylko pod względem ekonomicznym i politycznym, ale także kulturalnym i duchowym, aż do zatarcia jakiegokolwiek różnic („Bądź człowiekiem na zewnątrz!”) — ten oto mieszczański ruch narodowy neofityczny wśród Żydów został wówczas przyjęty przez świat zewnętrzny z radością i sympatią.

Było to rzeczczą naturalną w okresie ekspansyjnego kapitalizmu i narodowego imperializmu. Posługiwano się przy tym Żydami przy asymilowaniu mniejszych i słabszych narodów. Żydowskiego pośrednika językowo-kulturalnego spotkał los pośredników handlowych: funkcję ich nowszechnie uznano za potrzebną i pożyteczną, ale za to przez nikogo nie lubianą i nie szanowaną.

Z gruntu odmiennie przedstawia się sytuacja obecnie, w okresie autarkii gospodarczej i intensywnego nacjonalizmu zjawisk charakterystycznych nie tylko dla

krajów faszystowskich i pół-faszystowskich, a więc w nieco słabszej mierze dla wszystkich krajów kapitalistycznych bez względu na ich reżym polityczny, ale także dla republik sowieckich. Właśnie Stalin powtarzał niejednokrotnie, że narodowe wyzwolenie małych narodów Związku Sowieckiego nie jest możliwe bez przeprowadzenia procesu industrializacji, bez szerokiej i głębokiej dyferencjacji ekonomicznej. A sowiecka polityka ekonomiczna przeprowadziła wielki program industrializacji Ukrainy, Białorusi, Azarbejdżanu i wielu innych okręgów, przez setki lat spełniających dla Rosji rolę kolonii dla zakupu surowców i sprzedaży wyrobów przemysłu. Na te przebudzenia się i odrodzenia dziesiątek kultur narodowych sytuacja zbłąkana plemienna żydowskiego, znowu lawirującego pomiędzy językami i kulturami, przeczucjącego się znow od jednej kultury narodowej do drugiej (na Ukrainie 20% dzieci żydowskich uczęszcza do szkół ukraińskich, a 50% do rosyjskich!), staje się wprost nie do zniesienia. Szczególnie na tle całkowitego równouprawnienia ekonomicznego i politycznego przy najlepszych i najbogatszych możliwościach zewnętrznych narodowego życia i twórczości — impotencja narodowa żydostwa sowieckiego występuje w całej swej okropności. Szególnie zaś przykre wrażenie wywołuje jednostronny pęd w kierunku wdzierania się do obcych środków językowo-kulturalnych, do rozdrobnienia się w okół kilku języków i kultur, do całkowitego zejścia z powierzchni, podczas gdy wszystkie kultury narodowe, młodsze i uboższe, kwitną i rozrastają się.

Autarkiczne gospodarstwa prowadzą jednak i muszą prowadzić do narodowych gospodarstw, a także do narodowych państw, w konsekwencji zaś — do intensywnego nacjonalizmu. Nacjonalizm ten, w przeciwieństwie do ekspansyjnego nacjonalizmu imperialistycznego 19. stulecia, do maksymalnego wyzyskania własnych sił narodowych i energii, a tym samym do maksymalnego odrzucenia od siebie obcych wpływów. W tym nowym, szybko wznoszącym, narodowo zdeklarowanym i skryształizowanym świecie wszelka próba Żydów w kierunku asymilacji musi zetknąć się z całkowicie odmiennym ustosunkowaniem się, niż to było w ubiegłym kapitalistycznym okresie.

Wraz z rozpadnięciem się Rosji carskiej i dawnego cesarstwa austriackiego, gdzie przebywało 8 milionów Żydów, rozprószone i rozsiądane wśród małych uciśnianych narodów — upadła też dawna funkcja asymilatorska Żydów, za którą narody panujące płaciły Żydom przysługami pewnych praw. Bezpośrednie zetknięcie się z lokalną większością narodową stworzyło absolutnie nowe warunki nie tylko wykonywania roli gospodarzej Żydów, ale także dla funkcji ich w życiu kulturalnym kraju.

Powiedzieliśmy już wstępie, że każda specyficznie żydowska kwestia ekonomiczna bierze źródło w naszej specyficznej pozycji pozbawionej ziemi mniejszości narodowej, grupy, która dzięki oddziaływaniu czynników historycznych, posiada największe zdolności konkurencyjne, przy posiadaniu najwięcej praw. Każda

mniejszość, a w szczególności obca, posiada pewne ograniczenia w porównaniu z większością. Leży to w naturze rzeczy. Dla tego równouprawnienie żydowskie traktuje się wszędzie, nawet w najbardziej wolnościowych krajach, jako pewnego rodzaju przywilej czy podarunek. Czy jednak ta sytuacja mniejszościowa rośnie do poziomu problemu ekonomicznego i specyficznego żydowskiego kryzysu ekonomicznego — zależy od panującego systemu gospodarczego w tym albo innym kraju, jak również i od liczebności Żydów i ich znaczenia w życiu gospodarczym.

Z wyżej określonego punktu widzenia można podzielić świat na trzy wielkie sfery z trzema odrębnymi systemami gospodarczymi, stanowiącymi paralele z trzema rodzajami ustosunkowania się do mniejszości żydowskiej.

1) Kraje, w których pozostało jeszcze maksymalne panowanie gospodarki liberalnej i prywatnej, przy minimalnym kapitalizmie państwowym i minimalnym stopniu wpływania państwa na bieg życia ekonomicznego (Anglia, Holandia, Belgia, Francja, Ameryka Północna, Ameryka Południowa i inne);

2) kraje, w których gospodarka prywatna i wolna, zbudowana na zasadzie wolnej konkurencji, została zniesiona całkowicie, a na jej miejscu panuje kolektywna gospodarka planowa (republiki sowieckie), i wreszcie —

3) kraje o silnie rozwiniętym kapitalizmie państwowym przy równoległym i równoległym panowaniu państwowym i państwowym, z wolną konkurencją i z regulowanymi cenami, z ingerowaniem aparatu państwowego do wszystkich zakamarków życia gospodarczego i z całym chaosem i anarchią czysto kapitalistycznej gospodarki rynkowej, dalekiej zarówno od liberalnego, jak i planowego systemu gospodarczego; system ten bywa często określany jako faszyzm gospodarczy (Niemcy, Austria, Węgry, Polska, Litwa, Łotwa i inne).

Nie trudno stwierdzić, że pierwsza grupa krajów, tkwiących jeszcze głęboko w liberalnym gospodarstwie, składa się z krajów silnie uprzemysłowionych, z odpowiednim znaczeniem politycznym i kolonialnym majątkiem, albo z krajów kolonialnych, posiadających specyficzne warunki ekspansywne. Autarkizm jest tam najsłabszy, a międzynarodowe związki i kontakty odgrywają jeszcze bardzo poważną rolę w życiu ekonomicznym tych krajów. Słowem, są to wszystkie kraje, w których system wielko-kapitalistyczny jest jeszcze panujący. Sytuacja Żydów w tych krajach pozostała taka sama, jak w 19. wieku — równość obywatelska wzajemian za kulturalne zrównanie się.

Druga, sowiecka grupa krajów pozbawiona jest konkurencji, gospodarstwa prywatnego, nie posiada kwestii klasowych, nie ma więc także dlatego żydowskiej kwestii ekonomicznej. Panuje tu bezklasowy proletariacki system gospodarczy. I właśnie dlatego w tym kraju czystego intensywnego racjonalizmu, pozbawionego tendencji zdobywania i ciemnienia obcych narodów, żydowska kwestia narodowa występuje tak wyraziście, dowodem czego są wielkie wysiłki centralnej władzy sowieckiej w kierunku bez-

(dokończenie na str. 5.)

Dr. Tulo Nussenblatt

Herzl w Warszawie

CIENIOM NAHUMA SOKOŁOWA.

Pocztówka
wysłana
przez
Herzla
z Warszawy
do matki.Przekład tekstu:
„Jestem zdrow!
Wiele
pocałunków, mo-
ja droga Mamo,
Twój wierny syn
Teodor”.
6. 8. 1903.

Długoletnie starania Herzla celem uzyskania w Petersburgu całego szeregu oficjalnych audiencji, podczas których poruszonyby zostały ciężkie warunki bytu ludności żydowskiej w Rosji, i które nakła-

nić miały rząd rosyjski do zmiany stanowiska wobec syjonizmu, zostały w sierpniu 1903 roku uwieńczone pomyślnym skutkiem. Starania Fryderyka, księcia Badeńskiego, Jana Bogumiła Blocha i Berty Sut-

terowej okazały się w Petersburgu jako nie wystarczające.

Audiencję u Plehwego zawiadzczał Herzl Polce, pani Paulinie Korwin-Piotrowskiej, serdecznej przyjaciółce sprawy syjonistycznej. Na drodze walki Herzla o wolność i ziemię dla narodu żydowskiego spotykamy liczne osobistości polskie, które nie tylko pomagały Herzlowi, lecz również dopatrywały się więzi duchowej pomiędzy walką Żydów o polityczną emancypację a własną walką o wolną Polskę. Są to: Michał Newliński, Stanisław Koźmian, współtwórca konserwatywnego polskiego i Korwin-Piotrowska, którą Herzl porównywał z inną „sympatyczną Polką”, panią Groplerową, mieszkanką Konstantynopola, w której domu łączyły się nici polityki wschodniej i sprawy polskiej. Pani Korwin-Piotrowska popierała słowem i czynem ideę syjonistyczną. Kilkakrotnie przysłuchiwała się obradom Kongresu w Bazylei, któremu w roku 1898 następujące serdeczne poświęciła słowa:

Do bazylejskiego Kongresu 1898.
Przez długie wieki — z wiarą Moj-
żesz, ...
..Błagał lud Pana — co narody ...
..wskrzesa,
..O powrót ziemi — mu obiecanej,
..Ziemii Kanańskiej — tej ziemi wy-
branej.
Cierpieniem — łzami — najkrwa-
w-
szymi ciosy
..Snać już wyblagał dla się szczęścia
losy
Bo światła zaczął zorzy blask rumiany,
Promyk nadziei—długo mu rzeźnany!

Światło i miłość—co cuda stwarzają!
Bo one serca wszechludzkie bratają!
I świat w podziwie uderzy czołem
Przed Izraela wskrzeszenia aniołem.

Dziś zjednoczona Kongresem praca
Spokój i szczęście narodowi przywra-
ca.
Duchu postępu! Cześć Ci składamy!
..Ukoj cierpienia ludzkości, błagamy!
Warszawa 1898.

KORWIN PIOTROWSKA.

Korwin Piotrowska z niesłabnącym zainteresowaniem śledziła wzrost idei syjonistycznej. Na prośbę Herzla podjęła się w lipcu 1903 roku starań u Plehwego. Dnia 23 lipca tegoż roku donosi ona Herzlowi, że Plehwe jest chętny udzielić mu audiencji i że: „raduje się poznać tak ciekawą osobistość, jak Herzl, i chce emigrację bez powrotu z całego swego serca wspierać”. W dwa tygodnie później, dnia 5 sierpnia, Herzl po otrzymaniu paszportu i zezwolenia na wyjazd do Rosji jako prezydent Kongresu syjonistycznego (na co kładł szczególny nacisk) udał się w podróż w towarzystwie swego przyjaciela, Dr. Katzenelzona z Libawy. Na krótko przed odejściem pociągu z Wiednia znikł Herzl ku zaniepokojeniu zebranych członków Komitetu Wykonawczego. Skazało się później, że Herzl stałym swoim zwyczajem i tym razem, jako przed waznym krokiem, zwiedził grób swego ojca.

Dnia 6 sierpnia 1903 roku zatrzymał się Herzl w Warszawie. W Pamiętnikach jego czytamy notatkę pod datą siódmego sierpnia: „Moja podróż zachowana była przed towarzyszami w tajemnicy, ale wia-

domość o niej przecie przedostała się. Oczekiwano mnie: w Warszawie, Wilnie. Tak źle im się powodzi, że ja, sam słaby i biedny, wydają się im być zbawcą”.

W Warszawie oczekiwali Herzla oficjalnie zawiadomieni: Nahum Sokółow i adwokat Jasinowski, oraz garstka innych syjonistów, którzy skądinąd dostali wiadomość o przyjeździe. Nahum Sokółow opowiedział mi kilka lat temu w Warszawie szczegóły krótkiego pobytu Herzla w tym mieście. Sokółow był cicerone Herzla po Warszawie. Miasto zwiedzało częściowo pieszo, częściowo dorożką. Herzl wykazywał znajomość stosunków polskich i żydowskich w kraju. Naglił ciągle do pospiechu. We Wiedniu już nauczył się był wyrazu rosyjskiego „skoriej”. Sokółow mu je przetłumaczył i napisał po polsku. Herzl wyraził chęć zwiedzenia dzielnicy żydowskiej miasta. Sokółow, Katzenelson i Jasinowski, znając słaby stan zdrowia Herzla, chcieli go od tego powstrzymać. Nie udało się im wszakże i musieli udać się z Herzlem do dzielnicy żydowskiej. Herzl naczynnie przekonał się w zaułkach żydowskich o nędzy i nieludzkich wprost warunkach bytu Żydów warszawskich. Bładość twarzy zdradzała jego silne wzruszenie. Kilkakrotnie Herzla poznano i wiadomośc o jego pobycie w Warszawie rozszalała się lotem błyskawicy po mieście. Zrozumieli wszyscy, nawet najdalej odejstający, że w drodze jego do Petersburga o ważne sprawy idzie. Kiedy więc na zaproszenie Sokółowa i Jasinowskiego Herzl udał się z nimi na posiłek do znanej podówczas restauracji żydowskiej Hekselmana, sala wypełniona była po brzegi gośćmi, oczekującymi Herzla. Na życzenie Herzla wstrzymano się od głośniejszych powitań. Ze skupieniem i napięciem przyglądali się wszyscy Herzlowi i po krótkim posiłku odmówiono wspólnie tradycyjną benedykcję i błogosławieństwo dla Herzla.

Sokółow opowiadał, że szczególnie spodobał się Herzlowi pomnik Mickiewicza. Przed tym pomnikiem dłuższą odbył rozmowę. Mówił o Rosji, o Polsce i o Mickiewiczu. Z Warszawy wysłał Herzl do swej matki, przebywającej na wywczasach w Ischlu, widoczek, przedstawiający pomnik Mickiewicza w Warszawie. Widoczek ten Herzl sam wybrał.

W niespełna rok po pobycie w Warszawie i rozmowie z Sokółowem przed pomnikiem Mickiewicza, dnia 3 lipca 1904 r., umarł Herzl. Nie mógł przeczuwać, że po jego śmierci całe pokolenie, wychowane na ideałach wolności wieszczą polskiego, złączy imię Herzla ze słowami Mickiewicza. W ten sposób bowiem pisał o Herzlu jego serdeczny przyjaciel i uczeń, wychowawca pokolenia syjonistów galicyjskich, Adolf Stand: „A gdy w czterdziestym czwartym roku życia wyzioną ducha, jęliśmy doń stosować słowa poety: A imię jego czterdzieści i cztery”.

skich syjonizmu. Odbudowa centrum narodowego w Palestynie i utrwalanie polityczno-kulturalnych podstaw bytu mniejszości żydowskich w diasporze stanowią elementy jednego wielkiego procesu historycznego, rozgrywanego się w naszych czasach: narodowego odrodzenia i wyzwolenia narodu we wszelkich postaciach jego bytowania, ukoronowaniem zaś tego procesu będzie odbudowana ojczyzna żydowska w Palestynie.

Tej prawdy nie proklamowano jeszcze w Helsingforsie przed trzydziestu laty. Znalazła ona swój wyraz w rozwoju ideologii syjonistycznej po wojnie światowej, szczególnie w Polsce.

Carska Rosja przed trzydziestu laty... Potężna fala rewolucji i powrotna fala reakcji. Walcząca o postęp społeczny i sprawiedliwość, demokracja z jednej strony — czarnosecinna reakcja, zdolna tylko pogromowym antysemityzmem tumaniać ciemne masy, z drugiej strony. Demokracja niesie Żydom równouprawnienie i nadzieję na lepsze jutro — reakcja: pogromy, poniżenie, zagładę.

Co robi syjonizm w tej przełomowej chwili? Odpowiedzialny za losy mas żydowskich, przystępuje do aktywnej polityki w ich obronie. Na kogo się orientuje, z kim współpracuje? — III Konferencja Organizacji Syjonistycznej w Rosji stwierdza, że autonomiczna organizacja narodowa możliwa jest jedynie pod warunkiem demokratyzacji krajów diaspory i dlatego „sankcjonuje naturalne przyłączenie się mas syjonistycznych do ruchu wolnościowego pośród terytorialnych narodów Rosji”.

Ale uchwały te nie doczekały się realizacji w Rosji. Wiosenne powiewy wolności szybko ustąpiły przed powrotnym mroźnym podmuchem carskiego nacisku. W r. 1917 nadeszła ponowna „wiosna narodów” Rosji, a wraz z nią potężny porыв narodowo-wyzwoleńczy mas żydowskich — unicestwiony przez przewrót bolszewicki.

Zato program helsingforski, uchwalony przez syjonistów dawnej Rosji, przemienił się w ideowy fundament syjonistycznej polityki krajowej w innych krajach, przede wszystkim w Polsce.

Leopold Halpern

HELSINGFORS

Rosja carska przed trzydziestu laty... Rosja carska jeszcze, ale już podważona w swych podstawach przez potężny prąd rewolucyjny, będący wyrazem dążeń uciskanych poddanych do swobód i praw obywatelskich, walki robotników o reformy społeczne, walki chłopów o ziemię i narodów uciskanych, domagających się równouprawnienia, autonomii, niepodległości. Wielki okres historyczny budzenia się śmiałych dążeń i wyzwalań się ukrytej dotąd, bo gwałtem tłumionej energii społecznej i narodowej.

Pierwszy podmuch rewolucji 1905 r. przyniósł natchniamstowe, ale tylko częściowe zwycięstwo ludu. Car został zmuszony do przyznania formalnych praw obywatelskich, wśród których najdonioślejszym było prawo do wyboru reprezentacji parlamentarnej — Dumy Państwowej. Przed trzydziestu laty ustanowione legalnie prawo uważano zrazu za prawo bezwzględnie obowiązujące, rychło jednak przekonano się, że pod rządami cara i jego biurokracji wytwarza się przepaść nie do przebycia pomiędzy formalną ustawą, a faktyczną praktyką władz. Przekonano się też niezmiernie szybko, że nawet demokratycznie wybrane przedstawicielstwo ludowe, posiadające większość demokratyczną, nie wystarczą, jeżeli władza wykonawcza pozostaje w ręku reakcji. Jeśli zaś były jeszcze w tym przedmiocie pewne iluzje wśród mas, upojonych pierwszym swoim zwycięstwem nad zniechęconym regimem, to o ich ostateczne rozwianie się postarali się sam car: opozycyjną Dumę rozwiązano, a nowe wybory rozpisano na zasadzie zmienionej w kierunku reakcyjnym, ordynacji wyborczej.

W takiej właśnie sytuacji zebrała się w grudniu 1906 r. III Konferencja Wszechrosyjskiej Organizacji Syjonistycznej, wybierając za miejsce obrad fińskie miasto Helsingfors. Celem konferencji było ustalenie programowe stosunku ruchu syjonistycznego do odbywających się w kraju przemian wewnętrznych - politycznych oraz ideologiczno - teoretycznych rozstrzygnięć kwestii udziału syjonistów w polityce wewnętrznej i w walce uciskanych narodów o prawa obywatelskie i narodowe.

Faktycznie bowiem, sprawa ta została już zdecydowana przez życie: jeszcze przed uchwałami helsingforskimi, gdy tylko zrodziły się w Rosji pierwsze możliwości czynnego udziału ludności w polityce państwa, syjonisci nie tylko spontanicznie przystąpili do walki o równouprawnienie i prawa narodowe ludności żydowskiej, ale objęli w swe ręce ster żydowskiej polityki narodowej. Nie mniej jednak wątpliwości natury ideologicznej co do celowości aktywnego udziału w polityce krajowej istniały nadal.

Syjonizm w swej istocie, zwłaszcza, zaś w radykalnej postaci, nadanej mu przez Teodora Herzla, był potężną reakcją na anomalie, nędzę i ucisk diaspory żydowskiej — toteż diasporę tę syjonizm negocjował bezapelacyjnie. Herzl wyraził się kiedyś, że syjonizm stworzony jest dla Żydów, którzy nie chcą, bądź nie mogą asymilować się, przez przesiedlenie ich do Palestyny. Logicznie wynikało z tych słów, że ta część Żydów, która pozostanie w rozproszeniu będzie wcześniej czy później dla żydostwa stracona. — A oto nagle rodzą się w Rosji dla milionów Żydów nowe wa-

runki polityczne, nowe nadzieje i możliwości — wprawdzie nie całkowitego narodowego rozwiązania kwestii żydowskiej, albowiem to ostatnie osiągnąć się da w całej pełni tylko i wyłącznie na własnym terytorium — ale polepszenia sytuacji gospodarczej, kulturalnej i politycznej, a kto wie, czy nie stworzenia kulturalno-autonomicznych, podstaw bytowania uznanej przez państwo mniejszości narodowej. Jak syjonizm winien zachować się w obliczu tej swej perspektywy i jak swój aktywizm w polityce krajowej pogodzić ze syjonistyczną nauką?

Na te kardynalne pytania miał udzielić autorytatywnej odpowiedzi Helsingfors. Do udzielenia jej syjonizm na terytorium ówczesnego imperium rosyjskiego przygotowywał się niezmiernie sumiennie. Jeszcze w lipcu 1906 r. odbyła się konferencja czołowych syjonistycznych organów prasowych („Dos Judisze Folk”, „Jewrejskaja Żyżn” i „Głos Żydowski”), która opracowała projekt uchwał dla późniejszej konferencji helsingforskiej. Projekt prasy nawiązał do punktu 2. programu bazylejskiego, nakazującego „organizację i zespolenie całego żydostwa za pomocą odpowiednich miejscowych i ogólnych instytucji, zgodnie z obowiązującymi w każdym kraju prawami”. Nawiązanie to do podstawowego programu syjonistycznego było pomysłem niezmiernie szczególnym, który zresztą w całości został zaakceptowany przez późniejszy zjazd helsingforski, wchodząc jako pierwsze zdanie ustępu wstępnego programu helsingforskiego, nie mniej jednak daleko nie wyczerpywało ideologicznego uzasadnienia syjonistycznej „polityki krajowej”.

Zresztą projekt prasowy położył punkt ciężkości na stronie polityczną zagadnienia. Nie czemu prowadzić walkę polityczną, ale o co — było osią zainteresowania twórców projektu. W tej też właśnie pla-

szczyźnie szukać należy zasługi autorów projektu, który stwierdziwszy „odbywanie się przebudowy ustroju państwowego”, słusznie i konsekwentnie wysunął zasadniczy postulat „uznania narodowości żydowskiej przez państwo, oraz prawnego usankcjonowania samorządu we wszystkich sprawach żydowskiego życia narodowego”. Postulat ten stał się podstawą politycznej części programu helsingforskiego i oznaczał zdecydowane zadeklarowanie się syjonizmu za ideą autonomii narodowej w diasporze, która jednak — w przeciwieństwie do iluzji autonomistów folklistycznych, „sejmistycznych” i bundowskich — nie miała przynieść całkowitego rozwiązania sprawy żydowskiej, ale stanowić tylko „modus vivendi” dla mniejszości żydowskich, pozostających w diasporze pod kulturalno-politycznym wpływem narodowej metropolii w Palestynie.

Niezmiernie doniosłe są ustępy projektu, formułujące ogólnoobywatelskie postulaty syjonizmu. Żądania te przepojone są duchem demokratycznym radykalizmu społecznego: „Organizacja Syjonistyczna w Rosji całkowicie przyłącza się do wyrażonych przez ludy Rosji żądań demokratyzacji ustroju państwowego na zasadach wszechludzkiego ludu, ogólnego równoprawienia bez różnicy pochodzenia, religii i płci, wolności słowa, sumienia, związków i zebrań, wolności strajków, szerokiej prawodawczej ochrony pracy we wszystkich bez wyjątku dziedzinach wytwarzania, rozdzielu pomiędzy religią a państwem, decentralizacji rządów i autonomii narodowo-terytorialnej oraz samorządu narodowego mniejszości, uważając to za niezbędne warunki dla trwałej organizacji ludności żydowskiej i swobodnego rozwoju sił narodowych i narodowej samodzielności”. Ustęp ten podkreśla dobitnie i niedwuznacznie demokratyczno-progresywne nastawienie syjonizmu w polityce

Narodowy i ekonomiczny kryzys żydostwa

(dokończenie ze str. 4)

warunkowego stworzenia żydowskiego państwowego organizmu gospodarczego.

Trzecia grupa krajów, składająca się z jednej strony z wysoko rozwiniętych krajów przemysłowych, pozbawionych wszelkich odpowiedniego stanowiska światowomocarstwowego i kolonii (Niemcy i Austria), a z drugiej strony — z krajów agrarnych, których spóźniony rozwój gospodarczy został od samego początku wtłoczony w ciasne granice własnego kraju (Polska, Węgry, Rumunia, Litwa, Łotwa). Te właśnie kraje najmocniej chwyciły się systemu autarkizmu i nacjonalizmu gospodarczego, odgraniczania się od świata, od którego nie spodziewają się one korzyści lub dochodów, ale raczej niebezpiecznej konkurencji; wypierania każdego zbytecznego konkurenta, który zwięża i tak już wąski i ciasny teren egzystencji. W krajach tych rządzi stan średni o skromnych ambicjach i perspektywach, wahający się pomiędzy ekspansywnym rozwojem krajów wielko-kapitalistycznych a intensywnym rozwojem krajów protektariackich. Związany jest „święta” zasada własności i inicjatywy prywatnej, ale równocześnie wywłaszcza żydowski stan posiadania i wypiera żydowskich konkurentów. Tworzy rzekomo harmonię po-

między klasami, ale pozostawia dysharmonię interesów. Jednocześnie stan średni rozdmuchuje i rozdrażnia instynkty szowinistyczne, aby przy pomocy nacjonalistycznej hecy zakrzyczeć i zamazać wszystkie pozostawione socjalne przeciwieństwa i przepaści.

W tych oto, opanowanych przez stan średni, krajach, niebezpieczeństwo wypierania mas żydowskich przybrało tak ostre formy i tak katastrofalne rozmiary, że los ich niepokoi i musi niepokoić całe żydostwo światowe. Ten kryzys ekonomiczny około 6 milionów Żydów zbiega się jeszcze do tego z kryzysem narodowego charakteru całego żydostwa — to wszystko powiększa oczywiście niepokój żydostwa światowego, pogłębia cierpienia narodu żydowskiego na całym świecie. Z drugiej wszakże strony okoliczności te zmuszają do wielkich wysiłków, do organizowania i kształtowania woli mas żydowskich, do dyscypliny jedności różnych mas i najdalej od siebie położonych sfer żydowskich. W wyniku tego rozpoczyna się nowy rozdział w historii żydowskiej diaspory — okres zorganizowanej i solidarnej powszechności żydowskiej, zjednoczonego i narodowo uświadomionego żydostwa światowego.

LION FEUCHTWANGER

FAŁSZYWY NERON

POWIEŚĆ

I.

DWAJ POLITYCY.

Gdy senator Varro zmierzał rankiem owego szóstego marca w kierunku siedziby zarządu cesarskiej rzymskiej prowincji Syrii, spojrzenia przechodniów przez długą chwilę biegly za jego lektyką. Przed dwoma dniami nowy gubernator Ceion uroczysto przejął insygnia swej władzy, toporki i różgi liktorskie i wstyżym rzuć się w oczy, że senator Varro, najpotężniejszy człowiek prowincji, nie uczestniczył przy tej ceremonii. Kiedy więc teraz składał spóźnioną wizytę, całe miasto Antiochia zadawało sobie pytanie, jak się ci dwaj ludzie ustosunkują do siebie.

Była wczesna wiosna, nieco chłodna, z gór nadlatywał rzeźwy wiatr. Lektyka skręciła na długą, wspaniałą, główną ulicę miasta. Senator Varro, z lekkim uśmiechem na grubych wargach, wprawnym okiem dostrzegł, że przed wieloma publicznymi gmachami i wielkimi magazynami stały już popiersia nowego gubernatora, ustawione rękami gorliwych urzędników i mieszczan. Unoszony szybko w lektyce, przyglądał się tym popiersiom. Na kurczowo do tyłu cofniętych ramionach osadzona była mała, twarda, koścista głowa. Ileż to czasu minęło od chwili, gdy głowę tę z krwi i ciała widział ostatnio? Dwanaście, nie, trzynaście lat. Był wówczas pelen życzliwej pogardy dla tej twarzy. Wówczas on sam, Varro, zajmował miejsce na świeczniku, cesarz Nero był dlań laskawy, tamten zaś, ten Ceion, który nie potrafił stać się przyjacielem cesarza, był mimo swe wysokie urodzenie i wysokie tytuły człowiekiem pozbawionym wpływów, żyjącym w ciągłej trwodze przed zmiennym kaprysem cesarza. Dziś genialny Nero był już zamordowany. Na jego miejscu zasiadał na Palatynie cesarz Tytus, urzędnicy i wojskowi o tych samych, co on poglądach rządili państwem, a mały, pogardzany Ceion zrobił gładko karierę, do której urodzeniem swym był predestynowany. To też teraz rządził jako gubernator cesarski w tej bogatej i potężnej prowincji Syrii, gdzie on sam, Varro, przebywał jako człowiek prywatny. Jako człowiek prywatny, dawno już bowiem został wykreślony z listy senatu, gdy zaś dokoła niego wznoszono okrzyki: „Niech żyje senator Varro, niech żyje Dostojny!” — to było to rzecz czystej uprzejmości.

Mimo to wyczuwał Varro także i teraz, kiedy oglądał popiersia nowego gubernatora, tę samą lekką zmieszanie z życzliwością, pogardę, jaką ongiś — żywił już dla młodego chłopca, swego rówieśnika. Lucjusz Ceion pochodził z bogatej, szlacheckiej wcale nie pozbawionej inteligencji rodziny. Jednakże pewna stara i głupia historia uszczuplała szacunek, jakim cieszyła się rodzina Ceionów: pewien Ceion, pradziadek tego Lucjusza, przed siedmiesięcioma i jednym rokiem w bitwie przeciwko niejakiemu Armeninowi, jako jeden z pierwszych rzucił broń i Lucjusz od wczesnej młodości wyczuwał, że na nim właśnie ciąży obowiązek zmycia tej plamy z nazwiska rodu. Już jako dziesięcio- czy dwunastoletni chudy, anemiczny chłopiec zmuszał się do tego, aby twarz jego i postawa robił godne wrażenie i, choć wąły nieco, dumnie przepychał się między rówieśnikami. Jednakże tą wymuszona dzielność pobudzała tylko towarzyszy chłopca do sztywnienia zeń zdwojoną uciechą. Jakie to przewisko nadano mu w szkole? Senator Varro ścisnął brwi i z wysiłkiem usiłował przypomnieć sobie; ale nazwa ta całkowicie wyleciała mu z pamięci.

Nie będzie to rzeczka całkiem prostą stanąć po tylu latach w tak zmienionych okolicznościach oko w oko z tym dobrym Ceionem. Stosunki Varrona z rządem prowincji Syrii były bardzo skomplikowane. W siedzibie zarządu uważano jego, rzymianina Varrona, od dawna już za najgroźniejszego przeciwnika dzisiejszego rzymskiego reżimu w Syrii. A jak to będzie teraz za władztwa Ceiona, który tej współczującej, wrogiej pogardy Varrona z dawnych lat nie zapomniał z pewnością.

„Niech żyje senator, niech żyje dostojny!” — wołano ze wszystkich stron. Varro kazał odsunąć firanki lektyki i uinął się nieco wyżej, tak, że jego mięsista, ogorzala twarz o potężnym czole, mocnym, orlim nosie i grubych wargach stała się widoczniejsza dla przechodniów. Zadowolony, rozkoszował się oznakami szacunku. Czuł się wyższy od nowego przedstawiciela państwa. Dawać sobie radę tutaj, w Antiochii, było rzeczą ważniejszą, niż jednać sobie w Rzymie, na Palatynie, sympatię. W Rzymie, dzisiejszym, w Rzymie Flawiuszów i Tytusów potrzebne było urodzenie i pieniądze, nic więcej. Tutaj zaś, w Antiochii, pośród tego, nieufnego, wrażliwego tłumu mieszczaków, Greków, Syryjczyków i Żydów, trzeba było ustawicznie podtrzymywać swe stanowisko własnymi czynami i indywidualnością, codziennie zdobywać na nowo zaufanie tych ruchliwych setek tysięcy. Ten Wschód należał do niebezpiecznych i właśnie dlatego Varro kochał go. Dokonał tego, wybił się w Syrii. Może dziś wobec przedstawiciela rzymskiego cesarza wystąpić jako potęga, całkowicie realna, chociaż nie stoją za nią żadne ugody i przywileje.

Lektyka zatrzymała się przed pałacem gubernatora. W przedśionku stały już pomiędzy pękami różeg, oznakami władzy konsularnej nowego pana ołtarze z woskowymi podobiznami przodków. Między nimi jedna była osłonięta zasłoną właśnie podobizna owego pradziadka, który przyniósł hańbę rodowi. Było oczywiste, że gubernator Ceion nie waży się wytknąć Varronowi tego, że nie wziął udziału w ceremonii przejmowania przezeń urzędu. Wyszedł sam do pełnego ludzi przedśionka. W oczach wszystkich objął go i ucałował. Przy tym uścisku szczupły, mały człowieczek zawiśł groteskowo na szyi okazałego senatora i dla uszu wszystkich obecnych cienkim, ostrym głosem dał wyraz swej radości z ujrzenia w tak kwitującym stanie swego towarzysza lat młodzieńczych. Po czym z oznakami serdeczności poprowadził go do swego prywatnego gabinetu.

Obaj panowie usiedli na przeciw siebie. Gubernator Ceion siedział sztywno, mały i bardzo wyprostowany w szerokim wschodnim fotelu, zajmując zaledwie połowę siedzenia: pocierał paznokciami jednej ręki dłoń drugiej i patrzył na Varrona z grze-

cznym choć badawczym wyczekiwaniem. „W tej parszywej Antiochii — myślał — zdaje się, że jeszcze uważają go za kogoś, tego naszego starego Varrona. Ale kim-że on jest? Zdegradowanym, zdeklasowanym człowiekiem. W Rzymie pies z kulawą nogą nie obejrzy się za nim. Kiedy ktoś wymienia jego nazwisko, z trudem przypominają sobie: Ach, Varro, czy to nie ten, którego cesarz Wespazjan z racji jakiegoś skandalu kazał wykreślić z listy senatorów? Zdaje się, że zrobił duży majątek w Syrii”. I tak właśnie jest. Kiedy się studiuje akta, to się widzi, że posiada nawet wpływy u ludzi przy władzy po drugiej stronie granicy. Ale cóż to jest? Cóż to za upadek dla rzymianina, zasiadającego ongiś w senacie, wałęsać się po tych śmieśnych dworach tubylczych władców, tych kapłanów i szeików, drapujących się w królewskość. I tam również załatwimy jego sprawy. Mój poprzednik był za mało energiczny. Inaczej bowiem ten awanturnik nie siedziałby tak arogancko naprzeciw mnie”.

Varro bowiem siedział na kanapie, zarzuciwszy nogę na nogę we wschodni sposób, niedbale, z dobroduszną, wprost serdeczną miną. Dokładnie zdawał sobie sprawę z myśli swego przeciwnika. Wiedział, że go lekceważy i jednocześnie tajemnie się go obawia. Sprawiało mu to złośliwą przyjemność. Tak, siedzi tu pozwala sobie prowadzić dalej, wbrew woli dzisiejszych władców, Flawiuszów, politykę porozumienia ze Wschodem, jaką począł cesarz Nero. Usunęli go, Wespazjan pod obelżywym, ironicznym pozorem wykreślił go z listy senatu. Nic tym jednak nie osiągnęli. Po prostu zamiast, jak poprzednio z Rzymu, prowadził teraz z Syrii swą dawną politykę porozumienia, a nowi panowie ze swymi energicznymi, rzymsko-wojskowymi metodami nie dali sobie z nim rady. Mali królowie, panujący władcy miast, księżycy kapłani państw, leżących między rzymską a partyjską granicą, widzieli przedstawiciela Rzymu nie w gubernatorze Antiochii, lecz w nim. Na niego przenosili cześć i miłość, którymi cieszył się tu na wschodzie usunięty cesarz Nero. Było to niewidzialne władztwo, które ustanowił Varro, mocne jednak i trwałe. Rząd rzymskiej prowincji Syrii chętnie pozbyłby się go, ale mimo wszystko potrzebował, choć tak wielkim był mu Varro ciężarem i tak wiele miano mu do zarzucenia, jego pomocy i pośrednictwa, jeśli chciał uniknąć ustawicznej podjazdowej wojny z pogranicznymi państwami.

Varro uśmiechał się więc wewnątrz, patrząc na siedzącego sztywno Ceiona i na purpurowe oznaki jego godności. Dla swych nowych podwładnych ten przedstawiciel Rzymu wyglądać może władczo i potężnie, on jednak, Varro, czytał niepewność w jego bladej twarzy, pokrytej czerwonymi suchotniczymi plamami. Zdawał sobie sprawę z tego, z jakim trudem zdobywał się Ceion na takie zachowanie, zdawał sobie sprawę i z tego, że ten zaledwie pięćdziesięcioletni człowiek był już człowiekiem starym, zużyтым przez życie w wiecznym napięciu, mającym na celu zmazanie hańby nieszczęsnego przodka. Pogodne współczucie opanowało Varrona na ten widok. „Biedny Ceion — pomyślał — biedny kolega. Nie imponujesz mi, ze mną nie dasz sobie tak łatwo rady”. Ceion zaś myślał: „Temu jest dobrze, gdy Varronowi. Żyje sobie, używa na tym zarzewiałym wschodzie, tymi tymczasem tacy, jak my, ze skóry wylażą, żeby utrzymać całość państwa”.

Podczas gdy tak myśleli, Varro nawiązał potoczną rozmowę. Winszując, mówił w potoku słów, Ceionowi zaszczytu i szczęścia tak wysokiego stanowiska. Szkoda tylko, że wpakowano go właśnie do tej przeklezionej trudnej prowincji. Syria może do cna zużyć nawet bardzo silnego człowieka. „W gruncie rzeczy — zakończył i roześmiał się lekko, poufnym śmiechem, jakby klepiąc swego rozmówcę po ramieniu, — w gruncie rzeczy cieszę się, że ja jestem człowiekiem prywatnym, ty zaś gubernatorem”.

„A więc nie przeszedł nad tym do porządku dziennego, — pomyślał dobrze usposobiony Ceion, — że wylano go z senatu”. — „Jak słyszę, — rzekł rażno, — nie przóżnowałeś tu zbytnio”. „Naturalnie, że nie, — odparł dobroduszenie Varro. — Nie jesteśmy jeszcze tak starzy, żeby siedzieć cicho. Gdyby się nie miało przynajmniej tej odrobiny polityki kulturalnej, nie wiadomo by było doprawdy, co robić z czasem. Zresztą nie jest dla nikogo tajemnicą, że serce me należy do Wschodu”. I zamyślony, zatroskany prawie, dodał: „Dla ciebie naturalnie, mój Ceionie, od stóp do głów rdzenny Rzymianinie, musi ten zapadły, zakłany Wschód wydawać się mocno niesmaczny. Jeżeli nie ma się do Wschodu wyrobionego, wewnętrznego stosunku...” wzruszył ramionami, nie kończąc.

Ceion, siedząc prosto i sztywno, przesunął znów paznokciami jednej ręki po dłoń drugiej. Czerwone plamy na białych kościstych policzkach pociemniały mu jeszcze bardziej, rzucił Varronowi krzywe spojrzenie, a jego suchy głos skrzypiał. „Wyruszać ostre granice, — rzekł, — przesunąć rzymskie władztwo aż do Eufratu i nie wpuszczać w obszar granic nie obcego. Jeżeli zadanie to ma ktoś tak wyraźnie przed oczyma, jak ja, to być może właśnie dlatego ma również właściwy wewnętrzny stosunek do ludzi i rzeczy”. I starając się usunąć z głosu ostry ton, prawie mimochodem, dodał: „Tak mi przykro, mój Varronie, że przy romanizacji naszego Wschodu będę musiał zrezygnować z twej pomocy”. „Jakto? — zdziwił się Varro. — Czyżbym jako człowiek, poza tym różnym nie stoi armia, nie działał w tej dziedzinie wielu i to różnorodnych rzeczy?” „Nie ulega wątpliwości, — przyznał uprzejmie gubernator, — znacznie przyczyniłeś się do wprowadzenia w tej prowincji rzymsko-greckiego bytu. Niestety jednak, wprowadziłeś tu również wprawę pierwiastków wschodnich, niż jakkolwiek rzymianin przed tobą”. „To prawda”, — przyznał z zadowoleniem Varro. „I widzisz, mój drogi, — ciągnął Ceion dalej, — tu właśnie mamy zastrzeżenia, tego nie widzimy chętnie. Poza tym zaś, — dodał nie bez złośliwości — wpadłbyś z pewnością w konflikt ze swym sumieniem, gdybyś w pewnych określonych wypadkach zasięgnął chętnie twych rad. Gdyż jakże mógłby w naszych wiecznych zatargach ze wschodem radzić nam dobrze z rzymskiego punktu widzenia człowiek, który nie tylko jest rzymianinem, ale jednocześnie poddanym wielkiego króla Partów i obywatelem państwa Edessy?” „Musiał się dobrze

przygotować, — przyznał w duszy Varro — zapewne starannie przestudiował moje akta. To ciągle jeszcze mój dobry, stary wróg. Prawdopodobnie starał się o Syrię, nie zaś o jakąkolwiek inną prowincję, dlatego, że ja tu siedzę”.

Domawiając ostatnich słów, Ceion wyprostował się jeszcze bardziej. Varro przyjrzał mu się. „Z łatwością dam sobie z nim radę — ucieszył się. — Jest i będzie zawsze słabeuszem. Coprawda, czasem właśnie tacy słabeusze dopuszczają się w swej narzuconej sobie energii nagłych aktów przemocy nieblichalnych skutkach”. I nagle przypomniał sobie przewisko, nad którym przez cały czas głowił się nadaremnie: Straszak. Naturalnie, Straszak. Tak nazywano w szkole Ceiona, na wzór owych drewnianych lalek, których używano zwykle podczas saturnali, drewnianych lalek, o ruchomych członkach, które można było za pomocą małej dźwigi wyprostowywać i wydłużać, i znów sprówdzać do dawnej skurczonej pozy. Nazwano go zaś tak dla tego, aby wyszydzić jego usiłowania wydawania się większym, niż był w istocie.

Varronowi sprawiło dużą przyjemność przypomnienie sobie przewiska Ceiona. Zrećnie zboczył z politycznych torów. Gorliwie jął wypytywać gubernatora o jego życie prywatne i usposobienie. Okazało się, że Ceion obawia się, że zżycie się z niedyscyplinowanym bytem tego wschodniego miasta nie przyjdzie mu łatwo. Daphne, przedmieście Antiochii, gdzie większość arystokratów i bogaczy posiadała swe wille, miejscowość głośna na całym świecie, dzięki swemu bezwstydnemu wyuzdaniu, nie była bynajmniej najprzyjemniejszym sąsiedztwem dla urzędnika rzymskiego, skłaniającego się do światopoglądu stoików.

Właściwie ta pierwsza wizyta byłego senatora, złożona gubernatorowi, trwała już dostatecznie długo. Ceion zatrzymał Varrona i znów powrócił do spraw politycznych. „Powiedz mi, mój Varronie, — spytał, — czy chcesz nawet teraz, kiedy w zarządzie nie zasiada człowiek obcy, lecz ja, w dalszym ciągu robić trudności w sprawie podatku za inspekcję oddziałów wojskowych Edessy?” Albowiem na koszt utrzymania garnizonu rzymskiego w mieście Edessie, stolicy nominalnie niezawisłego królestwa po drugiej stronie Eufratu, w myśl ugody lożyło miało właśnie królestwo Edessy. Rzymski gubernator zaś nałożył poza tym w Syrii szczególny podatek na corocznie odbywane inspekcje oddziałów wojskowych po drugiej stronie granicy. Skarb Antiochii stał na tym stanowisku, że Varro, jako obywatel cesarskiej prowincji Syrii, obowiązany jest podatek ten płacić, Varro jednak był zdania, że ponieważ jako obywatel Edessy spłaca już swój podatek na utrzymanie oddziałów, płacenie tego podatku byłoby podwójnym opodatkowaniem. Nie chodziło tu o owe sześć tysięcy sestercyj, które ani dla Varrona, ani dla kasy rządowej nie przedstawiały większego znaczenia, chodziło o zasadę. Gniewało to rząd antiochijski, że ten wielki pan Varro, zdegradowany w Rzymie, lecz posiadający jeszcze rzymskie prawa obywatelskie, w stosunku doń wedle własnego upodobania zachowuje się jako poddany rzymski, lub też jako poddany jednego z mezopotamskich księstw. Dla tego właśnie między zarządem Syrii i Varronem toczył się długi, uprzejmy i zacięty spór o ów podatek.

Teraz również wytoczył Varro swe stare argumenty, znane już gubernatorowi z akt. Dowodził, że takie podwójne opodatkowanie byłoby nietylko prawnie niedopuszczalne, ale nawet politycznie niebezpieczne, gdyż podkreślałoby dwuznaczny, wrogę przywróceniu mi godności senatora?”

Gubernator wysłuchał cierpliwie długich wywodów. „Wszystko to dobrze i ładnie, — zauważył w końcu, wpadając po przyjątku do słowa Varrona, — ja jednak, będąc na twoim miejscu teraz, kiedy w zarządzie tym siedzi przyjaciel, zastanowiłbym się poważnie mimo wszystko, czy nie należałoby zarzucić owe me-zopotamskie i patryjskie przynależności państwowe. Mógłbyś bowiem wówczas mieć pewne widoki na odzyskanie twego dawnego stanowiska rzymskiego”.

Varro słuchał uważnie. Jak - że ten człowiek zaraz, za pierwszym spotkaniem zmierzał do rzeczy — to ciekawe. „Jak to rozumiesz? — spytał wprost. — Czy znaczy to, że myśli się o przywróceniu mi godności senatora?”

Ceion spostrzegł, że za daleko posunął się w stosunku do swego przeciwnika i cofnął się z powrotem poza swój urzędowo suchy ton. „W każdym bądź razie poruszałem na Palatynie tym podobne sprawy, — odpowiedział — i miałem wrażenie, że nie spotkałem się tam z niechętnym uchem. Wiążących obietnic, — dodał spiesźnie, — oczywiście robić nie mogę. Ale radzę ci poważnie zastanowić się nad moimi słowami”.

Varro z trudem maskował swą wesołość. A więc zauważyli ci flawijscy cesarze, ci parwieniusze, ci znieawidzeni, że bez niego nie daleko zajdą ze swoim Wschodem. Chcą znów go wciągnąć na listę senacką. Bardzo to ładnie z ich strony. Ale tak prymitywnym manewrem nie da się złapać Varrona. Gdyby go już mieli szczęśliwie w Rzymie, to po kwartale znów wysadziłby go z senatu, tym zaś razem, byłiby dowcipniejsi i wykończyliby go całkowicie. Senator w W Rzymie. Jakaż niewymyślna przynęta. I za to ma zrezygnować ze wszytskiego, co z takim trudem zbudował ze swych dążeń do zespolenia Wschodu z Zachodem, i współdziałać ma z tą pozbawioną fantazji polityką nowych panów, pragnących przesunąć punkt ciężkości mocarstwa na Zachód i wzniesić mur przeciw Wschodowi? Slicznie dziękuję. Wolę raczej być „Kuzynem króla Edessy”. Chętniej jestem „Przyjacielem wielkiego króla Partów”, niż „dostojnym panem” w Rzymie.

Podziękował gubernatorowi za trud, jaki dla jego dobra wziął na siebie w Rzymie. „Spodziewam się, — odpowiedział Ceion, porzucając zimny urzędowy ton, — że wkrótce dojdziemy na tej drodze do porozumienia”. „I ja spodziewam się tego również”, — odparł Varro, mówiąc z kolei tak sucho, że brzmiało to, jak odmowa.

c. d. n.

M i ó d i c i e n i e

KRONIKA LITERACKA

Cały ostatni tom poezji Leopolda Staffa powleka już „barwą miodu”. Osladza ona już dawne zmagania, zagadnienia, bunty, sprzeczności, a nawet w wspólny teren radości i rezygnacji. Cięcia i rany o których wspomina poeta, wyglądają tu raczej, jak żyłkowanie jakiejś drogocennej amfory. Refleksyjność Staffa zrosła się tak silnie ze słowem i z bogactwem wierszowej oprawy, że chciałoby się czasem — śledząc dociekania poety — sparafrazować słowa Shawa: „za piękne, by musiało być prawdziwe...”. Staff buduje świetnie aforyzmy. Z każdego niemal jego wiersza można wykrócić skończony i zaokrąglony aforyzm, który wychyla się, jak owoc z listowia wiersza. Budowa jego jest okrągła i ma wszystkie pierwiastki symetrii, przekładni i zestrojeń, jakie cechują jego strofę. Odbieramy więc czasem wrażenie, że budowa ta ubiega treść. Daje nam przede wszystkim satysfakcję zbieżności i zestrojenia, o czym mówi wprost sam poeta:

„W sobie zestrzajam sprzeczny ten świat,
Apollinie
„Boś chyba poto tylko dał mi lutnię w
ręce.” („Harmonia”).

Sam watek myślowy tej twórczości nie przedstawia dużej zawikości. Poeta rezygnuje z kapryśnych kryteriów, jakie nasuwa nam mózg. „Wszystko jest prawdą, wszystko jest wszędzie” — powiada w pewnym miejscu. Uznaje równoważność maku i prawdy, aktualnej rozmowy i mglistego wspomnienia, przeżytku i namacalnego przedmiotu. Wszystko się sobą stapia i w siebie przecieka. Z ironią odwraca się od spiętrzonego systemu naukowego, który wikła i mnoży zawikości, podczas gdy „prostota tego świata ziarnu pszenicy równa jest.”

Wiąże się to z postawą religijną tej poezji i płynącą z niej — niedramatyczną pokorą. Staff — mentor i wzór całego pokolenia liryków, które się na nim wychowało wreszcie się mentorskiej mości.

„Jeśli ci zdaje się, gdy nagle wstanie,
„Ze coś wskazują mądrzem doświadcze-
niem,
„Jest to ruch tylko, gdy przez się utkane,
„Płótno ze strachem mierzę swym ra-
mieniem.” („Płótno żywota”).

*) Oba tomy — wydawnictwa J. Mor-
kowicza, Warszawa.

LEOPOLDA STAFFA: „BARWA MIODU” I BOLESŁAWA LEŚMIANA „NAPOJ CIEŃSTY” *).

Nie jest to więc ruch mentorski, ale miernictwo poety, a wskaźnikiem drogi nie stanie się ten, którego naczelną troską jest zestrzajanie w sobie sprzeczności.

Poprzestaje on na jedynym filozoficznym testamencie: nie oddać poezji na pastwę zasad i zasług... Uważa zresztą, że przy całej swojej nietrwałości, posiada jednak swoją zupełną samowystarczalność. Bierze ją Staff jako wartościową z osobistego punktu widzenia, twierdząc: „Niezmarowane będzie życie moje, bom tworzył wiersze i miałem przyjaciół.” — Dziwna — na pierwszy rzut oka — równoważność. Tworzył wiersze i miał przyjaciół, — obie te rzeczy mogą z sobą sąsiadować, głównie na bazie satysfakcji i równowagi osobistej. I to też wskazuje na bardzo ciekawą postawę poetycką Staffa, który skądinąd znowu przy swoim dużym patosie powszedniości, chce twórczość poetycką sprowadzić do charakteru działania (w sensie starogreckiego związku: pojejn — poezja), związanego zarazem ze specyficznym staffowskim motywem służby.

Ponad wszystkimi tymi jednak wątkami myślowymi o wewnętrznej równowadze i mądrości tego tomu rozstrzyga inny moment, który nadmieniliśmy na początku: suwerenność samej funkcji poetyckiego tworzenia.

Zasada ta zajmuje nas szczególnie ze względu na poetyckich spadkobierców Staffa. Nie wchodzący bliżej w to, do jakiego stopnia przejawiał się on u tych lub innych poetów z młodszego pokolenia, samego faktu silnego oddziaływania zaprzeczyc jednak nie można, a to szczególnie na te tak wpływowe u nas i popularnej grupy Skamandrytów. Szczególnie w obecnym okresie, kiedy pewne, bujne zjawiska młodej polskiej liryki nawiązują do niektórych zasadniczych pierwiastków tradycji norwidowskiej, lub — jak w wypadku Awangardy — zahaczając o nią, opierają się o nowe przestanki formalne i światopoglądowe, — w tym obecnym okresie związek między twórczością Staffa a Skamandrytami uwydatnia się bardzo ciekawie. Witalizm, bowiem, Skamandrytów (a szczególnie K. Wierzyńskiego, najbliższego ucznia Staffa), wraz ze swoją żar-

liwością i patosem wewnętrznym, wywodzi się w prostej linii od Staffa, z którego poeci ci zdjęli jedynie ciężar nadbudowę refleksyjną. W bujnej i zaborczej swojej chłonności zmysłowej odczuwali nadbudowę tę jako rzecz obcą, którą należy odrzucić mimionej dacie i mimionym racjom. Więcej: uważali całą tę refleksyjność jako sprawę wtórną, a to z nie małą racją. Bo cały kosmos Staffa i jego problematyka kosmiczna były dalekim echem jego uczuciowej postawy wobec życia, postawy, w której wszystkie prawie normalne zagadnienia rozstrzygały się poprzez zasadę piękna i równowagi świata. W tym też sensie skręcił on niejako od owego wielkiego toru, który prowadził od wieszczów, poprzez Norwida i Wyspiańskiego, a którym ruszali naprzód zagadnienia trudne, odczucie dalekich sprzeczności, wyrzucanych na wierzch przez procesy dziejowe, — zagadnienia i sprzeczności, których „miodna mądrość” poezji nie zablźni...

Miód i cienie... W rzeczywistości cieni wprowadza nas ostatni tom poezji wielkiego poety-wirtuoza Bolesława Leśmiana, p. t. „Cienisty napój”. Wprowadza nas w rzeczywistość cieni i w ciągłe różnorodne sąsiedztwa życia i śmierci. Bo Leśmian obcuje w zażyłej poufałości ze zjawiskiem śmierci, która bynajmniej nie została odcięta od życia. Od życia prowadzi do niej żywy pomost, a tyjące rzeczy, które my przypisujemy życiu i jego bujnej vegetacji, oddaje Leśmian w dzierzawę, lub na wzięte posiadanie śmierci. Ma żelazne atuty: cmentarz n. p., który tonie w bujnej i żywej florzce, zaciera wszelkie pogranicza, pozostaje nadal miejscem tajnych schadzki życia z śmiercią, ożywia i ucieleśnia nawet najodleglejsze postaci i nie respektując zaświatów, ściga jeszcze ku nam ich śmieśczość. Oto mamy:

„A opodał — mniej więcej naprzeciw
rozstajui,
„We fraku bezrozumnie skąsanym przez
szczura,
„Na czele kilku cieni żeńskiego rodzaju
„Nieboszczyk Madaleński — prowadził
„Mazurę.” („W Zakątku cmentarza”).

Jeżeli przypatrzmy się bliżej jego twórczości, kalem i pańnikom, — a przejdzie-

my następnie do postaci ożywionych lub ucieleśnionych, jak: znikomek, srebrów, śnitrupek, zmierzchn, lub in., zauważymy, że należą one do wspólnej rodziny, która włoży się po obu światach, wchodząc w życie tropami śmierci, a w śmierć tropami życia.

Ale Leśmian osiąga ten skutek sposobem o wiele szerszym i ogólniejszym: ustawicznym ucieleśnianiem. Poeta stworzył sobie język, dla którego nie ma treści dość abstrakcyjnej, by je zakłębieniem swoim nie mógł ożywić. Język, który nie uznaje granicy bytu i niebytu, bo stale je z sobą komunikuje. (Istnieją tu słowa: pola i bezpola, szumy i niedoszumy...) Bo w jego poezji ustawicznie rodzą się światy, a on, niestrudzony stwórca, nie ustaje w swoim dziele. Takie słowa jak „wnicestwić się”, lub „popodźlać się”, — przypominają biblijne „tadsze desze, tazia zera”, zwroty, którymi wyjaśniono kosmogonię...

To, co w symbolizmie, na którym Leśmian wyrósł, posiadało, sztywną powagę, — jak pojęcia: czas, wieczność, byt, ruch, — wszystko to u niego weszło w stan bezustannej wibracji, w stan wegetatywny, i — czasami nawet — teatralny. Bo oto, n. p.: Świat się wsnął w nieskończoność, niewiadomo którą... („Magda”) „Za trawą wszechświat” (str. 117.) „Obok swój bezruch kojarzy z fal ruchem” (str. 123.) Dla światopoglądu swego, którego podstawą jest — wizjonerstwo, wprowadził Leśmian ogromny system pojęć, o precyzji — prawie, że teoretycznej, które każdej rzeczy wyznaczały inną rangę konkretności. „Śniło mi się, że znika treść kwiatów wopliwa...” („Sen”), „Był mój stał się radosnym w snach znieuchomieniem...” (str. 157).

Dość temu dochodzi do skrajnego sensualizmu. Życie staje się jedynie ciągłością chwil, z którymi całe jestestwo swoje utożsamia, z którymi zanika, lub odradza się. Równocześnie ułatwia to kompletne przenikanie się wzajemne wszystkich zjawisk, mniej lub więcej konkretnych, znowu ich, lustrzane odbijanie się w sobie.

Ale półsema ta nieuchwytność, którą poeta goni cieniem i świetnie utkaną siecią, swoich metafor i chwytów poetyckich, do stała się już w tym tomie, w „Napoju cienistym” w zbyt gęste przedziwo...

ITER

Doc. Dr. Edmund Stein

Pierwszy tragik żydowski

W dziedzinie teatrológii zaznacza się dobitnie różnica między żydostwem palestyńskim w epoce Drugiej Świątyni a żydostwem hellenistycznym, europejskim. W Judei uważano teatry za czasów Herodasa Wielkiego, porobnie jak gimnazja w czasach makabejskich, za „siedzibę sztyderców” (moszab lecim), której pobożny Żyd winien unikać. Inaczej w hellenistycznej diasporze. W Milecie, jak wiemy z napisów, były w teatrze specjalne miejsca honorowe, przeznaczone dla „bogobojnych Żydów”, pewnie dla przedstawicieli tamtejszej gminy żydowskiej. Filon z Aleksandrii sam opowiada, że był na teatralnych przedstawieniach i na walkach zapalczywych.

W hellenistycznym Egipcie narodził się żydowski dramat biblijny, podobnie jak w średnich wiekach powstały na tle religijnym chrześcijańskie dramaty pasyjne i żydowskie sztuki biblijne (Jakub i Esaw, Mordechaj i Haman i t. d.).

Niestety z całego piśmiennictwa hellenistyczno-żydowskiego doszły do nas tylko strzępy, ale sam fakt, że istniały żydowskie sztuki bilijne w języku greckim, ma doniosłe znaczenie kulturalno-historyczne. Najwięcej, bo 269 trymetrów jambicznych, posiadamy z dramatu biblijnego „Exagoge”, poety grecko-żydowskiego, który żył w Aleksandrii w 2 w. przed Chr. Źródło nasze (Euzebiusz, Praeparatio Evangelica IX, 28 n) nazywa go „żydowskim tragikiem”. Musiał on zatem pisać przede wszystkim tragedie na tematy żydowskie. Lecz zachowana częściowo sztuka jest tylko dramatem biblijnym na temat wyjścia Żydów z Egiptu.

Pierwszy zachowany fragment zawiera monolog Mojżesza, który znajduje się w skrajnym Midianitów, dokąd uszedł po uśmierceniu jednego z egipskich ciemiężców. Jest to prolog w formie monologu. Mojżesz daje przy tym krótki przegląd dziejów Izraela w Egipcie do ostatniej doby. Ezechiel zadał już przejść przez klasyczną szkołę greckich tragików. Technika bowiem monologu wzorowana jest na greckim tragiku Eurypidesa.

W dalszym ciągu zjawia się siedem cór kapłana midianickiego Raguela, które zaznajamiają Mojżesza z krainą, do której się zabłąkał.

Mojżesz żeni się z Cyporą, jedną z córek Raguela, (co należy uzupełnić z biblijnego opowiadania).

W drugim fragmencie opowiada Mojżesz Raguelowi sen, który oddaje po raz pierwszy w języku polskim, w metrum greckiego oryginału, t. j. w jambicznych sendrach:

Na szczyte góry Synaj oglądałem tron
Wysoki, aż pod nieba sięgający strop,

Na nim zaś szlachetnego rodu siedział Mąż,
Koroną zdobion, a w lewicy berło — cud
Dzierżący: wtem prawicą skinął mi na znak,
Co widząc wnet do tronu podstąpiłem ja.
Do moich rąk Mąż berło dał, na wysoki tron
Bym wstąpił — każe On, diademem zdo-
bi skroń
Królewskim mnie, zstąpiwszy z tronu swego
sam.

A ja objąłem ziemię wszystką wzrokiem uraz
I co pod ziemią, i powyżej co jest nieb:
A mnie do kolan padł gwiazdzisty nieba huf.
Ich wszystkich liczbę też przejrzałem ja ci
w mig,

A one niby ludzki tłum obsiadły mnie.
W tem przerażony z objęć snu wyrwałem się.

Teś Raguel wyklada Mojżeszowi sen w ten sposób, że winien spodziewać się wielkiej władzy w przyszłości.

Ten sen, o którym nie wie Biblia, jest wymysłem, czy literackim pomysłem poety. Sen bowiem jest literackim środkiem, dobrze znanym w klasycznej tragedii (sen

Atosy w „Persach” Eschilosa, sen Klytemestry w „Elektrze” Sofoklesa i t. d.).

W następnej scenie przemawia do Mojżesza Bóg, niewidzialny, z krzaku róży.

W dalszym fragmencie zjawia się poseł — znany z greckiej tragedii angelos — i donosi o zagładzie Egipcjan, którzy znaleźli śmierć w Morzu Czerwonym. Angelos odgrywa tu podobną rolę, jak zwiaśtum w „Persach” Eschilosa, domoszący o klęskę Persów pod Maratonem. Dzięki wprowadzeniu posła nie trzeba było zmieniać sceny tak, że można było zachować zasadę jednoci miejsca.

Wreszcie opowiada poseł o korzystnej wroźbie w postaci potężnego ptaka, za którym latały inne ptaki, jakby uznając jego królewski majestat. Oczywiście, że i ten szczegół jest wolnym wymysłem żydowskiego dramaturga, gdyż nie zna go ani Biblia ani legenda talmudyczna.

Tak więc Ezechiel nie tylko rozszerza swobodnie biblijne opowiadanie, lecz także pozwala sobie na różne samodzielne wkłady.

Styl Ezechiela jest łatwy; tu i ówdzie zdradza autor tendencje apologetyczną, ale czyni to w sposób delikatny, nie natrętny. Frazeologia bardzo zbliżona do Eurypidesa, choć Ezechiel znał także innych wielkich greckich tragików i nie jedno od nich przejął.

Dramaty Ezechiela były pisane dla sceny, nie tylko do czytania. A jeżeli słusznym jest przypuszczenie, że dramaturg Ezechiela o wyjściu Żydów z Egiptu był przeznaczony także dla nie żydowskiego widza i miał na celu szerzenie znajomości judaizmu i budzenie dla niego sympatii wśród nie-Żydów, to przyznać wypada, iż zarówno styl, jak i technika, mogła się w pełni przyczynić do osiągnięcia tego celu.

Dla nas jest ten dramat arcyciekawym pomnikiem historycznym i literackim. Erwin Rohde powiada, że ze wszystkich narodów orientalnych Żydzi najwięcej nauczyli się od Greków. Poświadcza to także poetycka twórczość Ezechiela, żydowskiego Eurypidesa.

Don Juan*)

Don Juan. Imię to stało się synonimem uwodzicielstwa. Spotykamy się z tym zresztą często, że imiona bohaterów wybitnych dzieł literackich równają się pojęciom, że starożyta za długie omówienia, za całe litanie przymiotników. Don Kichot, Hamlet, Werther — czyż nie są to pojęcia o ściśle określonych typowych kompleksach psychicznych?

Jeśli chodzi o Don Juana, to ta starohispańska legenda o grzesznym rozpustniku, hidalgu hiszpańskim Don Juanie Tenorio, oparta jest tak samo, jak legenda o Fauscie, częściowo na faktach historycznych. Odegrała ona zresztą podobną rolę na południu, co mit faustowski na północy. Don Juan — to w pewnej mierze Faust południa, a raczej jego uzupełnienie. Motyw przewodni jest w obu legendach identyczny: zmaganie się człowieka z samym sobą i szukanie prawdy, pełni, — sensu życia.

Różnica, jaka między obu legendami zachodzi, wypływa z różnej atmosfery, w jakiej się narodziły. U Fausta, jako człowieka północy, punktem centralnym życiowych perypetii jest moment kentemplanty, podczas gdy u Don Juana, sangwi-

nicznego południowca, punktem wyjścia życiowej tragedii jest moment sensualny. Przyczyna tragedii Fausta leżała wewnątrz jego istoty, była integralną częścią jego jaźni. Stanowiła ją nie dająca się okiełznać wola przekroczenia granicy ludzkiej zdolności poznawania. Inaczej u Don Juana; tak przynajmniej chce Jezusich. Jego struktura psychiczna wolna jest od predyspozycji tragicznych, a jego ufnie i radosne życie skażone zostało od zewnątrz z powodu zdrady pierwszej kochanki — przezeń kobiety — Donny Concepcji.

W roli Mefista występuje w „Don Juanie” hr. Alvaro, typ cynicznego sceptyka, filozofującego hulaki, który swoje rozwiązanie życia i rozpustę kładzie na karb epikurejsko-hedonistycznych przekonań. Był on tym, dla którego Donna Concepcji zdradziła Don Juana, co pociągnęło za sobą pojedynek, w którym Don Juan powtórnie uległ hrabiemu Alvaro. Zimna głowa i zimne serce Alvara odniosły podwójny triumf nad marzycielem-sangwiniem Don Juanem. Przeciwnik i rywal Alvaro zamienia się jednak w przewodnika i nauczyciela młodego adepta sztuki życia. Pod wpływem Alvara następuje też kompletna metamorfoza duchowa Don Juana. Wprowadza on zrezygnowanego, zrozpaczonego i bliskiego obłędu młodzieńca z powrotem w życie, ale jakże od-

mienne od tego, jakie dotychczas pędził. Jako antydotum „choroby miłości” zaleca mu Alvaro rozpustę, czerpanie rozkoszy z każdego nadarzającego się źródła. Poprzez rozpasanie zmysłowe, poprzez nieograniczone żądni hamulcami moralnymi, folgowanie chuci wiedzy, wedle Mefista-Alvara, drogą do poznania istoty miłości i zasklepień ran, przez nią sercu zadanych.

Ta nauka Alvara uleczyła wprawdzie chore z miłości serce Don Juana i dała mu pełnię władzy nad nim, ale przyprowadziła go o cierpienia stokrotnie gorsze, bo o przesył i zubożenie. Odtąd nie znajduje on w przygodach erotycznych pozytywnego zadolenia; są one dlań tylko ucieczką przed życiową pustką, przed zalewem uczucia miłości.

Historia tragedii Don Juana — to właściwie dzieje jego szalonych, kankokomnych wyczynów miłosnych, nie pozbawionych krwi przelewu. Tragedia jego pogłębia się z każdym nowym przeżyciem erotycznym. W książce Jezusicha przewija się przed nami cały korowód doświadczeń — przez Don Juana kobiet, od najwzrostszych, tryskających zdrowiem, mieszczek do wyrafinowanych w sztuce miłości arystotek. Ulegają mu one wszystkie, z wyjątkiem jednej, dumnej Donny Anny de Ulloa, którą zresztą autor, ze względu na dane legendy, potraktował na wpol ale-gorycznie.

Jeśli chodzi o wartość literacką książki, o jej atmosferę, o jej walory kompozycyjne, — to przyznać trzeba, że

MONOGRAFIA O JOZEFIE OPATOSZU
W pięćdziesięciolecie wybitnego powieściopisarza żydowskiego, Józefa Opatoszu, wydał N. Majzel, redaktor „Literarische Blätter” monografię o nim, popartą obfitym materiałem listów i wynurzeń samego pisarza. Bliższemu omówieniu tej książki poświęcimy w krótko więcej miejsca.

ZISZE LANDAU NIE ŻYJE

Do najciekawszych przedstawicieli amerykańsko-żydowskiej liryki należał Zisze Landau, poeta o bardzo odpowiedzialnym stosunku do tworzenia poetyckiego, szermierz „absolutnie czystej liryki”, nie skażonej tendencją i społecznictwem. Poglądy swoje na te zagadnienia wypowiadał on na łamach redagowanych przez siebie czasopism żydowskich: „Literatura i życie” i „Inzel”. Obok tomu liryki, wydał on szereg tłumaczeń, antologię poezji żydowskiej w Ameryce i utwór dramatyczny pt. „Niebieski ptak”. Śmierć tego wybitnego poety stanowi poważną stratę dla literatury żydowskiej.

JUBILEUSZ LITERACKI KAROLA MAURRAS

Niektóre poważne czasopisma literackie we Francji poświęcają ostatnio z okazji jubileuszu sławnego autora „Musique interieure”, Karola Maurras, obszerne omówienia jego twórczości, wiążące w sposób indywidualny pierwiastki poetyckie z filozoficznymi i moralnymi, w duchu hellenizmu.

OBCHODY ROCZNICY ŚMIERCI H. S. CHAMBERLAIN'A W BAYREUTH

Z okazji 10. rocznicy śmierci autora „Podstaw 19-go wieku” H. S. Chamberlain'a, jednego z patronów rasizmu, odbyły się ostatnio w Bayreuth uroczystości obchodowe. Niemcy były przybraną ojczyzną Chamberlain'a, który od swojej własnej ojczyzny Anglii, odwrócił się z nietajoną pogardą. Oba więc wyżej wspomniane momenty, mogły posłużyć za podstawę bayreuthskich obchodów...

PO GIDE — CELINE

Obok książki Andre Gide'a o ZSRR, która wywołała ostatnio tak silne i niesłabnące wrażenie z powodu poddania ostrej krytyce pewnych zjawisk w Związku Sowieckim, ukazała się broszura popularnego pisarza francuskiego, autora „Podróży do kresu nocy”, Celine'a, która w swoim krytycyzmie w stosunku do rzeczywistości sowieckiej posuwa się o wiele dalej. Wywody autora, zabarwione jego anarchystyczną postawą ideową, kwestionują możliwości na przyszłość, możliwość pogodzenia wolności z komunizmem i dochodzą aż do skrajnego sceptycyzmu wobec — człowieka w ogóle. Krytyka w tej postawie autora upatruje pewne momenty cynizmu, które przebiegały się również w dotychczasowej jego twórczości.

ROMAIN ROLLAND ODPOWIADA GIDE'OWI

Prasa sowiecka ogłosiła ostatnio list Romain Rollanda do cudzoziemskich robotników w Magnitogorsku, w którym polemizuje on z ostatnią książką Andre Gide'a, zarzucając autorowi nieszczerłość i szkodliwość jego publikacji.

LISTY CHOPINA PO POLSKU

Nakładem Jarosława Iwaszkiewicza i „Wiadomości Literackich” wyszły ostatnio zbrane i przygotowane do druku przez Dra H. Opińskiego „Listy Fryderyka Chopina” w tłumaczeniu polskim. Odpowiedni wybór listów, ich chronologiczne uporządkowanie i duże ich bogactwo gawędziarskie i anegdotyczne dają ciekawy przyczynek do wizerunku genialnego kompozytora.

autor świetnego „Juliusza Cezara” nie osiągnął tym razem tego poziomu artystycznego, jakiego należało się po nim spodziewać. Może w tym nie cała wina po stronie autora, który, chcąc pozostać wierny pewnym przesłankom legendy, zmuszony był sprzągnąć fabułę fantastyczną z tematyką realistyczną. Ucierpięła na tym nienaturalnym związku kompozycja, która musiała wypaść wadliwie, chaotycznie. Ale, pomijając już jej wadliwą konstrukcję, książka jest pełna sztucznych, bardzo często przydługich, nużących dialogów. Czytelnik doznaje wrażenia, że ma przed sobą nie żywych ludzi, lecz manekiny, przemawiające przez usta autora.

„Don Juan”, choć tematycznie ilustruje nam tak intensywnie, zmysłowe życie Sewilli, jest sugestywnie anemiczny i nie jest w stanie wzbudzić w czytelniku odpowiedniej uczuciowej reakcji.

Ale mimo tych braków warto się z książką zapoznać, już może ze względu na specyficzne opracowanie beletrystyczne legendy przez Jezusicha. Do szeregu pisarzy, którzy opracowali legendę o Don Juanie, a byli to: Zamorra, Molière, Corneille, Goldoni, Byron, Grabbe, Zorilla, przybył teraz Jezusich. A ponad to nie brak w „Don Juanie” scen, które potrafią swą wyrazistą plastyką wryć się w pamięć czytelnika.

Tłumaczenie polskie książki niestety nie przyczyniło się do podniesienia jej walorów stylistycznych.

J. LESER

J. Ernicz-Homańska

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO W WARSZAWIE

Opera — Filharmonia — Konserwatorium — Konkurs Chopinowski

Czyniąc na początku 1937 r. pobięzny przegląd ruchu muzycznego stolicy, na wstępie zaznaczyć trzeba, że bieżący sezon muzyczny 1936—37 jest bardzo ożywiony.

Opera, Filharmonia, koncerty w sali Konserwatorium, wreszcie nowość tego sezonu, dostępne dla publiczności koncerty orkiestry radiowej pod dyktando G. F. Felberga, odbywające się raz na miesiąc, nie w studiu radiowym, a w sali kina „Roma” — nie licząc skromniejszych koncertów w sali im. Karłowicza — oto obfitych imprez muzycznych, z pośród których człowiek, spragniony muzyki, może sobie wybrać, co mu do gustu przypada.

Osobny dział stanowi muzyka radiowa, transmitowana ze studia, której przy sposobności poświęcimy specjalne omówienie. W powodzi wyżej wymienionych imprez muzycznych niewątpliwie prym w naszym życiu muzycznym dzierży: Opera Warszawska i Warszawska Filharmonia.

Ciekawe jest przyjrzeć się od strony widowni rezultatom tych szumnie reklamowanych prac, jakie jeszcze na dwa miesiące przed otwarciem sezonu (sezon inaugurowano 15 października) były podobno tak gorliwie rozpoczęte. O tych bowiem pracach krążyły wersje jak najpochlebniejsze, a obfite wzmianki w piśmiech upoważniały do rokowania jak najlepszym nadziei na obecny sezon operowy.

Tymczasem, co w rezultacie ujrzelismy na scenie od chwili otwarcia sezonu?

Jak zwykle kotowaczną repertuarową: Aida, Fausta, Pajace, Rycersko-wieśnicę, Polawiaczy Perel, Carmen, Toskę i t. p., czyli w dalszym ciągu to, co od wielu lat pokutuje w naszej operze i zaczyna już niekiedy widza straszyc, a nawet i odstraszać od uczęszczania do opery. Nie wystarczy odpowiadać na te zarzuty utartymi frazesami, że przecież są to opery tak powszechnie lubiane, kasowe, a więc przyciągające melomana i jego złotówki.

Widać, tak nie jest, skoro publiczność zaczyna sarkać i stronić od opery.

Jako przykład poziomu muzycznego niech posłuży przedstawienie „Carmen” z gościnnym występem (raczej występkami!) artystów Paryskiej Opery Komicznej. Przedstawienie to było tak, pełne wszelakich chwilejności rytmicznych, fałszów i niedociągnięć, zarówno wokalnych, jak instrumentalnych (co się tam działo w orkiestrze!) — że było nie zrozumiałym, jak można pobierać od publiczności ceny podwyższone za spektakl, stojący na tak niskim poziomie. Czyżby kierownictwo opery więcej dbało o sprawne działanie „klaki” teatralnej, która tego wieczoru funkcjonowała znakomicie, niż o czyste i rytmiczne śpiewanie?

liczności ceny podwyższone za spektakl, stojący na tak niskim poziomie. Czyżby kierownictwo opery więcej dbało o sprawne działanie „klaki” teatralnej, która tego wieczoru funkcjonowała znakomicie, niż o czyste i rytmiczne śpiewanie?

Z zapowiedzi, jakie dyr. Mazaraki poczynił na początku sezonu co do zamierzeń repertuarowych, słyszeliśmy o uwzględnieniu dzieł wartościowych i dotąd u nas granych: a więc „Pelleas et Melisande” Debussy'ego, „Harnasie” Szymanowskiego, wreszcie „Fata Morgana” Juliusza Wertheima, której materiał nutowy spoczywa w dyrekcji Opery już od lat. Ale narazie cisza dokoła!

P. dyr. Mazaraki nawet nie zadał sobie trudu posłuchać dwóch wyjątków z tej opery Wertheima, wykonanych po raz pierwszy na koncercie orkiestry radiowej w sali „Roma”. A szkoda, mogłoby się przekonać o niezwykłej wartości tej muzyki!

Narazie Opera Warszawska zajęta jest próbami baletu „Legenda o św. Józefie” Ryszarda Straussa; w dalszym ciągu mają być wystawione „Ijola” Rytla i „Mega” Wieniawskiego, grane przed kilkoma laty za czasów dyrekcji Emila Młynarskiego.

Obecnie do zapowiedzi operowych nie można już przywiązywać wagi, ponieważ okazało się, że zapowiedzi te nie zostają zrealizowane. O dyr. Mazarakim można powiedzieć to, co ksiądz „Rigoletta” śpiewa o kobiecie: „La donna è mobile”.

Tak się mniej więcej przedstawia sprawa opery, jak powiedzieliśmy powyżej, od strony widowni. To znaczy, że publiczność, placąc za bilet, ma prawo wymagać dobrego przedstawienia, a jeśli przedstawienie szwankuje, czyni za to odpowiedzialnym kierownictwo opery, nie wnikając w przyczyny zakulisowe.

Jeśli jednak uwzględnić całokształt zagadnienia opery i zastanowić się nad stroną organizacyjną, jasnym się staje, że nie cała wina spada na dyr. Mazarakięgo. Dyr. Mazaraki zawił tylko w tym, że najpierw podjął się prowadzenia Opery warszawskiej, a dopiero potem doszedł do wniosku, że w warunkach przez niego zaakceptowanych nie można racjonalnie prowadzić opery. Szkoda, że po niewczasie.

Dyr. Mazaraki posiada przecież wiele zapatu i dobrej woli, lecz wszystko rozbija się o brak pieniędzy.

Dwa zasadnicze mankamenty Opery, wynikające z braku pieniędzy — to brak prób i brak poważnego i doświadczanego kapelmistrza. Ilość prób jest nie tylko nie

dostateczna, lecz często dochodzi do takiego absurdu, że przedstawienia idą wogóle bez próby, i to nawet wówczas, gdy w wykonaniu przyjmują udział gościnnie występujący artyści, którzy nigdy jeszcze w operze warsz. nie śpiewali. Oczywiście, w takich warunkach zasadnicze błędy i zupełne wykojenia się są nieuniknione.

Co do kapelmistrza, to p. Sillich świetnie może przygotować chóry i jest dobrym kopretytorem dla solistów, zaś p. Tyllia posiada również wiele walorów muzycznych, lecz ani jeden, ani drugi nie stanowią dość wybitnej indywidualności dyrygenckiej, która powołana byłaby ująć w swe ręce ster Opery Warszawskiej, i tak już smaganej ciassami jak najgorszych warunków egzystencji.

Najlepszym momentem dotychczasowego sezonu operowego były dwa przedstawienia „Borysa Godunowa” z Szalapiem w roli tytułowej.

Sztuka oddźwięku Szalapina jest w swej wielkości tak zjawiskowa i fascynująca, że przemawia do każdego i wrusza. A wrzasa tym głębiej, im wrażliwszy na piękno jest słuchacz, czy widz (mimika, gestykulacja, a nawet sposób chodzenia po scenie są u Szalapina, jako aktora, czymś jedynym w swoim rodzaju).

Szalapin oddziaływał nie tylko na publiczność, na której wywiera niezatarte wrażenie, lecz także i na cały zespół operowy. Dla tego zapewne na tych dwóch przedstawieniach chóry śpiewały czystziej i rytmiczniej, orkiestra grała dokładniej, słowem widać było, że wszyscy starają się podciągnąć, choćby do pewnego możliwego poziomu.

Na marginesie występów Szalapina dla ścisłości zaznaczyć należy, że występy te nie były zasługą kierownictwa opery. Sprawadzenie do Warszawy zawdzięczamy skromnemu, a doskonale pojmującemu swe zadania, impresario p. I. Orensteini, który wykupił Operę na dwa wieczory i na własną rękę zaangażował wielkiego artystę.

Dla charakterystyki obecnych porządków w Operze niech posłuży fakt, na pozór nie mający nic wspólnego z prowadzeniem Opery, a w gruncie rzeczy świadczący o kompromitujących niedopatrznościach ze strony dyrekcji.

Wiadomo, że na jesieni r. ub. gmach Teatru Wielkiego został odnowiony, zarówno na zewnątrz jak i wewnątrz. Na ścianach reprezentacyjnego foyer na I-m piętrze, znajdują się portrety wielkich kompozytorów operowych; pod portretami widnieje nazwiska i daty, dotyczące owych kompozytorów. Otóż pod portretem Beiliego figuruje obecnie nazwisko B e i l i n i e g o! Czyżby dyr. Mazaraki, ani nikt z jego przyobcznych doradców, ani raz nie zwiędził reprezentacyjnego foyer po remoncie? Chyba należało, by ktoś kompetentny skontrolował pracę robotników, by uniknąć tak rzucających się w oczy skandalicznych rzeczy, wynikających bądź z omyłki, bądź może z chęci zrobienia „kawalu”, co w każdym wypadku nie licuje z godnością opery stołecznej.

Z naszej strony radzimy, aby w razie, jeśli już Bellini ma zmienić nazwisko, przemianowano go raczej na Bejlini, czy po prostu Beylin; niechże chociaż adwokat Gustaw Beylin upieczę przy tym swą reklamę, jako że był radcą prawnym opery za dyrektury p. Korolewicz-Waydowej!

Zupełnie inna atmosfera, niż w Operze, panuje w Filharmonii Warszawskiej.

Powaga we wszelkich poczynaniach, dbałość o repertuar, obejmujący zarówno dzieła klasyczne, jak i nowoczesne, bądź u nas dotąd nieznanne, bądź wykonywane z oryginału w ogóle po raz pierwszy, dobór pierwszorzędnych solistów, wreszcie, last not least, sprowadzenie z zagranicy coraz to innych dyrygentów, przeważnie bardzo dobrych — oto podstawy, będące zasługą dyr. Chojnackiego, a dające możność przeprowadzenia sezonu na wysokim poziomie artystycznym.

„Gwoździem” dotychczasowego sezonu filharmonicznego były dwa koncerty Fritza Kreislera.

W dzisiejszych czasach, gdy zamiast wielkiej sztuki coraz częściej spotykamy na estradzie puste wirtuozostwo lub chęć popisania się t. zw. oryginalnością wykonania, co w języku wielu „zawodowych” muzyków, w istocie z prawdziwej sztuki nić nie rozumiejących, nazywa się „nowoczesną” indywidualnością (termin często używany przez owych niemuzycznych muzyków dla zaimponowania szerszej publiczności) — artystm Kreislera przypominaj światu, że w arcydziełach muzycznych tkwi zawsze piękno odwieczne, nie przemijające. Tylko, że podejść doń trzeba od strony duchowej i wierzyć w jego przemożną siłę, by móc je w całej pełni roztoczyć przed słuchaczem.

Kreisler nie ma nic wspólnego z typem wirtuozów, który wychodząc na estradę, podniecony obecnością publiczności, wyżywa się, wyładowując swój temperament.

MAŁY FELIETON

KARNAWAŁ NA WIEJSKIEJ

W kraju szaleje grypa. W sejmie szaleje grupa „Grypa szaleje w Naprawie”, grupa szaleje raczej przeciwko „naprawiaczom”, i choć ciągnie na prawo, nie zamierza niczego naprawiać, a raczej woli psuć — krew niektórym ministrom.

To karnawałowe szaleństwo odbywa się przy dźwiękach i brzękach (Osińskich) znanej de-kompozycji, kończącej się słowami: „Marsz, marsz, nietylko Budrowski, co Poniawski”.

Stoimy w obliczu burzy w szklance herbacianej u marszałka senatu. Nie należy jednak wierzyć plotkom o postawieniu ministra skarbu przed Trybunał Stanu. Narazie grozi coś podobnego jednemu z posłów, chociaż ten zapewne uroczyście, że nie planował zamachu na stan... cywilny pewnej cudzoziemki. Czy to jego wina, że cienkie szwedzkie zapalki nie zapalają się zbyt łatwo?

Karnawałowy sezon artystyczny w pełni. W krótko oczekiwana jest w teatrze sejmowym premiera, może nawet premiera nowego premiera. Program wypełnią całkowicie utwory Koca. Na razie jednak nie można podać szczegółów. Wiadomo, nie kupuje się Koca w worku.

Tymczasem rozbił tu namioty doskonały cyrk. Dyrektorem i kierownikiem artystycznym jest zastępca pana Budzyński, który z wielką energią bierze się do pracy po urlopie w miłym ustroniu kolo Pruszkowa, zaleconym mu przez doktora medycyny, wprawdzie nie neurologa ale i n e r n i s t ę (malo jest internowanych?) Składowskiego.

Ten Budzyński — to wogóle szczęściarz. Łódzcy kindappperzy, zajmujący się porywaniem dzieci i zdzieciniałych, przez pomysłkę zamiast Budzyńskiego porwali niejakiego Budzynera. Okazuje się, że pory-

wacze byli czytelnikami przedwyborczej gazety „Der Telegraf” i doszli do wniosku, że gorąco polecany przez rabina ze Zduńskiej W o l i. (choć wbrew w o l i wyborców) kandydat, pisujący płomienne artykuły w żydowskiej gazecie, nazywa się w istocie Budzyner, a jedynie na zewnątrz używa chytrych pseudonimów. Zyczymy przestępcom łódzkim następnym razem więcej szczęścia. O. N. R. miewąpliwie wykupi swojego posła. Przy okazji możnaby porwać również posła Mincberga, chociaż nikt się nie pokwapił o zakupienie go, chyba tylko marszałek sejmowy, który go tak koniecznie chciał mieć w komisji budżetowej.

Ale — wróćmy do naszego cyrku. Mamny więc występ znakomitego filozofa Bakhona. Tylko wrodzona skromność nakazuje temu wybitnemu myślicielowi angielskiemu udawać belfra z Białej Podlaskiej. Obecnie występuje on jako „Zolnier królowej Madagaskaru”. Roli tej nauczył się w niemieckiej szkole cyrkowej Hagenbecka.

Od roku nie schodzi z afisza ubój (pardon, przebój) w wykonaniu swawolnej, choć leciwej, primadonny, mówiącej bez żenady o pewnych częściach, nie zawsze zwanych „przodkami”.

Przedstawienia, jakie daje sejmowa trupa czy grupa, cieszą się wielkim powodzeniem. Publiczność nie bije braw jedynie dla tego, że zajęta jest biciem — Żydom. Poza tym „kochana młodzież” prowadzi z Żydami zabawę „w wiejsca”, odbywającą się w takt walca: Raz na lewo, raz na prawo... Razów nie żalują.

Karnawał w sejmie, zabawa wre. A za oknem świta błąd — Światłski. „duch wojewody”

Esquire

Zapatrzone w dzieło wykonywane, głęboko przejęty jego treścią, Kreisler raczej podnosi słuchacza duchowo, ukazując mu, po przez krystalicznie czyste intencje swoje, moc i potęgę owego piękna, ów blask tajemniczy, którym płonie prawdziwie wielka sztuka.

W atmosferze, klasycznego, niczem nie zamąconego spokoju, wielkie dzieła, jak sonata (z fugą) na skrzypce solo Bacha, lub koncert Beethovena w interpretacji Kreislera nabierają od razu od pierwszej nuty cech monumentalnych.

Czy to koncert Mozarta, czy Mendelssohna, czy Paganiniego (w przeróbce Kreislera), czy wreszcie drobne utwory, będące bądź transkrypcjami, bądź oryginalnymi kompozycjami Kreislera — wszystko zagrane było tak skocznie pod względem stylu, a tak imponująco pod względem dźwięku i techniki, (mimo że Kreisler koncertuje już z górą przeszło pół wieku), że o każdej produkcji możnaby całą rozprawkę napisać.

Miejmy nadzieję, że zachęcony olbrzymim powodzeniem u publiczności, wielki artysta za jakiś czas znów odwiedzi Warszawę, gdzie nie występował od czasów przedwojennych.

Programy dotychczasowych koncertów Filharmonii zdobyły prócz nazwiska Kreislera różne więcej i mniej znane firmy, twórców i odtwórców.

U pulpitu kapelmistrzowskiego kolejna przesuwali się dyrygenci tej miary, co Issay Dobrowen, Georges Georgesco, Willy Ferrero, Ernest Ansermet i inni. Solistami koncertów byli m. inn. świątyni wionocelista francuski Pierre Fourier, flecista grecki Sambros Demetrios Callimahos, pianiści Artur Rubinstein, clawecenistka Wanda Sandowska, oraz skrzypkowie Efreim Zimbalist, Jacques Thibaud i Adolf Busch.

Adolf Busch należy do najlepszych współczesnych skrzypków niemieckich. W koncercie Brahmsa i solowych utworach Bacha wykazał wielki, piękny ton oraz frazowanie, pełne prostoty i szlachetności, godne artysty wielkiej miary.

Dla charakterystyki Buscha, jako człowieka, dodajemy, że jakkolwiek Busch jest arcydziełem czystej rasy, jednakże od przewrotu hitlerowskiego porzucił Niemcy i przeniósł się do Szwajcarii, ostantacyjnie przysięgł poddaństwo szwajcarskie.

Tak samo jako protest przeciw hitleryz-

mu, uczynił brat jego sławny dyrygent niemiecki, Fritz Busch, który dawniej był pierwszym kapelmistrzem opery drezdeńskiej, zaś od przewrotu hitlerowskiego wyjechał z Niemiec i dyryguje po świecie, głównie w Ameryce Południowej.

Na dalszy ciąg sezonu Filharmonia zapowiada również szereg koncertów pierwszorzędnych: w lutym usłyszeć mamy pianistów: Roberta Casadesu, Emila Sauera, Wilhelma Kempfa, kapelmistrza Hermanna Abendrotha (prowadzi IX-ą symfonię Beethovena), Ewę Bandrowską-Turską, zaś z wiosną ma przyjechać do Polski nast szereg koncertów Józef Hofman.

W sali Konserwatorium dyr. Markiewicz urządził w tym sezonie przeważnie koncerty sił młodych, dotąd u nas nieznanych. P. Markiewicz chce w ten sposób wylowić jakieś nowe talenty.

Niestety jednak obecnie w międzynarodowym życiu muzycznym umiędzynarodowienia gra większą rolę, niż istotna wartość artysty. Dla tego też, jeśli angażuje się artystów tylko na zasadzie tego, co pisze prasa zagraniczna — jest się narażonym na wiele niemiłych niespodzianek.

Dojść je najciekawszym wieczorem w sali Konserwatorium był recital na fortepianie dwuklawirowym, wynalazku Moraria. Wdowa po wynalazcy, p. Annie Christie-Moor, zresztą bardzo dobra pianistka obwozi po świecie i popularyzuje wynalazek swego zmarłego męża.

Fortepian ten zbudowany jest (przez wiedeńską fabrykę „Bösendorfer”) w ten sposób, że posiada dodatkowo drugą klawiaturę, umieszczoną nad pierwszą i nastrojona o oktawę wyżej, zaś III-i pedal dwoi dźwięki dolnej klawiatury w pktawie. W ten sposób powstaje całe mnóstwo nowych możliwości technicznych, co przy ewentualnym spopularyzowaniu tego instrumentu dałoby pole do zupełnej nowej twórczości fortepianowej.

Gdy mowa o perspektywach bieżącego sezonu, nie można pominąć milczeniem przygotowującego się konkursu chopinowskiego dla pianistów, który rozpocznie się z końcem lutego r. b. Będzie to już III-i z rzędu konkurs chopinowski w Warszawie, (konkursy te odbywają się co 5 lat). Podobno i tym razem zgłoszono mnóstwo zapisków z różnych krajów, bądź mniej bądź więcej od Polski odległych.

Czterolecie rządów swastyki

(Dokończenie ze str. 1.)

zawodach. A gdy obecnie szerokie rzesze żydostwa niemieckiego, w szczególności zaś młode pokolenie, jęły się rzemiosła, pracy fizycznej i na roli, — zamknięto im dostęp i do tych zawodów. Pozostawiono żydom jeden, ściśle określony, sektor życia gospodarczego, handel, ale tu znów im się zarzucza „handlarstwo”. Zresztą dziedzinę tę znacznie ograniczył bojkot. Propagatorzy tej idei wiedzą doskonale, że jest nonsensem żądać autarkii gospodarczej od mniejszości, która z jednej strony jest geograficznie rozproszona, a z drugiej strony ma zamknięty dostęp do wszelkich innych źródeł zarobkowych.

Do tego dochodzi jeszcze ciagle, na drodze prawodawczej realizowane, bezczeczenie narodu żydowskiego. Jest to główne dzieło t. zw. „Parteitag der Ehre”. Przy tym młode pokolenie niemieckie wychowywane jest w ślepej nienawiści rasowej do Żydów i w uświęconej przez ustawodawstwo pogardzie dla nich.

Oto jest rozpaczliwy dla Żydów bilans czterech lat rządów swastyki.

O B R O N A

Gdy objęcie rządów przez Hitlera wstrząsnęło całym niemieckim żydostwem, wydawało się, że przeszła przez nie fala opamiętania. Domek z kart asymilatorów z Centralverein runął, anemiczna ideologia asymilacji musiała w owych ciężkich dniach zniknąć z powierzchni życia. W tysiącach Żydów, którzy dotychczas nie mieli żadnego stosunku do problematyki żydowskiej, uznając ją wręcz za nie istniejącą, — naraz obudziła się świadomość przynależności do żydostwa i do wspólnoty losu żydowskiego. Syjoniści rzucili hasło: „Przyznajcie się do żydostwa!”, hasło, wzywające Żydów do trwania w godności i poczucia własnej siły.

Ruch syjonistyczny i Palestyna stały się ucieczką dla wielu Żydów, którzy zupełnie nieoczekiwanie znaleźli się w obym dla się świecie, w świecie żydowskim.

Ale również w skupieniach żydowskich poza granicami Trzeciej Rzeszy nastąpił gwałtowny wstrząs. Do sąsiadujących z Niemcami krajów poszła wielka fala emi-

grantów. Solidarność żydowska i współczucie żydowskie zrobiły swoje. Zewsząd wyciągały się ręce żydowskie, przynosząc pomoc emigrantom.

Nie wolno jednakże zapominać, że to nagłe obudzone zainteresowanie dla problematyki żydowskiej nosi w sobie znamiona powierzchowności i spoczywa na dość kruchej podstawie. Sale, w których odbywały się wiece protestacyjne przeciwko przesładowaniu Żydów w Niemczech, wypełnione były po brzegi. Z dumą bito się w piersi, gdy mówiono o Palestynie, która przyjąłaby mogła znaczną część emigrantów niemieckich. Kwaśniani politycy sądzili, że dni rządów narodowych socjalistów są policzone. Gdy nadzieje te przysły i gdy trzeba było zakreślić plan długoletniej pracy konstruktywnej, znacznie ochłonęli ci „jednodniowi” syjoniści, którzy sądzili, że uda się w ciągu jednej nocy „przetransportować” 600.000 Żydów do Palestyny, — i wrócili do czterech ścian swego domu. O los emigrantów mało kto teraz się troszczy, a zadanie odpowiedzialnej pracy spoczywa wyłącznie na barkach ruchu syjonistycznego, który wprawdzie wyszedł z przeobrażeń ostatnich kilku lat wzmocniony, nie mniej jednak dysponuje tylko częścią zbiorowych sił żydostwa.

Poleżenie narodu żydowskiego wymaga wszelkie mobilizacji wszystkich sił. Niemiecki narodowy socjalizm prowadzi wojnę nie tylko przeciwko Żydom niemieckim, lecz także przeciwko całemu światu żydostwu. Narodowy socjalizm stał się źródłem wszelkich ruchów antysemitycznych w świecie, które otrzymują odeń materialną i moralną pomoc. Z tym faktem liczyć się będziemy musieli w najbliższej przyszłości.

Cztery lata rządów swastyki — to jest ciemna karta w naszych dziejach. A jednak mroki przebijają jasny promień światła. Do całego szeregu krajów demokratycznych fala nacjonal-socjalizmu nie zdołała dotrzeć, w innych państwach między innymi też w Polsce, zderza się ona z przeciwną falą wolności i postępu, która znów zdaje się przechodzić przez świat. Fala ta i dla nas, Żydów, — stanowić ma źródło nowej energii życiowej.

Dzieło ze skarbicy dorobku kulturalnego Żydów! Niezbędne w każdej bibliotece!

Historia Żydów

Prof. D-ra H. Graetza, w przekł. polskim St. Szenhaka

Nowe poprawione wydanie (1926r.) drukowane na papierze satynowanym

Monumentalne to dzieło stanowi wspaniałe i pełne zobrazowanie dziejów Narodu Żydowskiego i powinno się znajdować w każdym kulturalnym domu. Cena kompletu w broszurze (2034 str.) Zł. 14.— Cena kompletu w 5-ciu luksusowych oprawkach ze złoceniami, tylko Zł. 20.—

Przesyłka bezpłatna. — Za pobraniem nie wysyła się. Księgarnia E. J. Gillin, Warszawa, Nalewki 1. P.K.O. 7-732